

Jean Baudrillard

O UWODZENIU

Przetłóżył

Janusz Margański

Sic!

ną magią, sprzeniewierzającą wszystkie prawdy, sztuką zaklania znaków, eksponowaniem ich złowróżbnego sensu. Takie zapadanie się we własne znaki, ich nieoczekiwana inwersja stanowi zagrożenie dla każdego dyskursu. Dlatego też wszystkim dyscyplinom, które aksjomatycznie traktują spójność i celowość swych dyskursów, pozostają już tylko egzorcyzmy. I właśnie tu uwodzenie przenika się z kobiecością, z którą też niezmiennie jest utożsamiane. Wszak nieoczekiwana przewrotność kobiety od zawsze prześladowała mężczyznę. Uwodzenie i kobiecość to nieuchronny rewers seksu, sensu, władzy.

Współczesny egzorcyzm jest brutalniejszy i bardziej usystematyzowany. Wchodzimy w epokę rozwiązań ostatecznych, dotyczących na przykład rewolucji seksualnej, produkcji i zarządzania wszelkimi progowymi i podprogowymi przyjemnościami, mikropocesami pożądania, których ostatnim awatarem jest kobieta, która samą siebie stwarza – jako kobietę i jako pleć. Koniec uwodzenia.

Albo triumf uwodzenia łagodnego, niewinna, rozmyta feminizacja i erotyzacja wszystkich stosunków w rozluźnionej rzeczywistości społecznej.

Albo ani jedno, ani drugie. Gdyż nic większego nad uwodzenie, nawet porządek, który je niszczy.

1. Ekliptyka seksu

Nic mniej pewnego dzisiaj niż seks, pomimo uwolnienia jego dyskursu. I nic mniej pewnego od pożądania, pomimo powszechności jego wyobrażeń.

W przypadku seksu ta powszechność bliska jest kompletnemu rozproszeniu. Otóż i tajemnica wzmożonej produkcji seksu, jego znaków, hiperrzeczywistości rozkoszy, zwłaszcza kobiecej: zasada niepewności objęła rozum zarówno seksualny, jak polityczny i ekonomiczny.

Stadium wyzwolenia seksu jest zarazem stanem jego nieokreśloności. Żadnych braków, żadnych zakazów, żadnych ograniczeń: kompletna erozja zasady odniesienia. Rozum ekonomiczny żywi się niedostatkiem, zanika po osiągnięciu swego celu, jakim jest likwidacja widma niedoboru. Także pragnienie żywi się brakiem. Gdy tylko przechodzi w żądanie, gdy rozwija się bez ograniczeń, obywa się bez rzeczywistości, bo i bez wyobraźni – jest wszędzie, choć objawia się w uogólnionej symulacji. Oto widmo pragnienia nawiedzające obumarłą rzeczywistość seksu. Seks jest wszędzie, tylko nie w seksualności (Barthes).

W mitologii seksualnej przesunięciu w stronę kobiecości towarzyszy przejście od ogólnej określoności do nieokreśloności. Kobiecość nie zastępuje męskości w sensie zastępowania płci, zgodnie z jakąś strukturalną inwersją. Zastąpienie oznacza tu kres określonego przedstawiania płci, upłynnienie prawa rządzącego różnicą płci. Wyniesienie kobiecości oznacza apogeum rozkoszy i rozbicie zasady określającej rzeczywistość płci.

A więc to kobiecość budzi namiętność w tym śmiertelnym splocie hiperrzeczywistości seksu – tak jak kiedyś, lecz akurat w odmiennej perspektywie – ironii i uwodzenia.

Freud ma rację: istnieje tylko jedna seksualność, tylko jedno libido – męskie. Seksualność tworzy mocną, dyskryminującą strukturę, której centrum wyznaczają fallus, kastracja, ojcowskie imię, wyparcie. Innej nie ma. Nie ma co marzyć o seksual-

ności niefallicznej, nieograniczonej, nienacechowanej. Ta struktura udaremnia pragnienie otworzenia przed kobiecością granicy i nie dopuszcza mieszania kategorii. Albo struktura, w której kobiecość jest całkowicie wchłaniana przez męskość, zachowuje tożsamość, albo zapada się i zostaje wyzerowana – nie ma ani męskości, ani kobiecości. I te procesy zachodzą dzisiaj jednocześnie: erotyczna wielostronność, nieskończona potencja pragnienia, rozgałęzienia, dyfrakcje, napięcia libidalne – wszelkie alternatywne warianty wyzwolicielskie, nadciągające z rubieży uwolnionej od Freuda psychoanalizy, bądź z rubieży samego požądania uwolnionego od psychoanalizy: w tle wrzenia ogarniającego paradygmat seksualny wszystko się zbiega w niezróżnicowanej strukturze i jej potencjalnej neutralizacji.

Revolucja seksualna stanowi dla kobiecości pułapkę – kobiecość bowiem zostaje zamknięta w tej samej strukturze, która – o ile jest mocna – skazuje ją na negatywną dyskryminację, bądź – gdy jest słaba – przygotowuje jej szydery triumf.

Jednakże kobiecość jest gdzie indziej i zawsze gdzie indziej była – i w tym właśnie tkwi tajemnica jej siły. Skoro można powiedzieć, iż coś trwa tylko dlatego, że jego esencja jest nieadekwatna względem esencji, wobec tego należy stwierdzić, iż kobiecość uwodzi, ponieważ nigdy nie jest tam, gdzie, jak mniema, jest. Nie jest więc już bohaterką opowieści o cierpieniu i ucisku, w której ją obsadzano – historii męki kobiet (choć podstępnie się w niej ukrywa). Cierpi poniżenie tylko wtedy, gdy wpisuje się ją w tę strukturę i w jej ramach gnębi, co też rewolucja seksualna z jeszcze większym drammatyzmem czyni: ale mocą jakiegoż to dziwnego współnictwa (a jakże, męskiego) mamy wierzyć, że jest to historia kobiecości? Wyparcie jest już w nią wpisane, w opowieść o niedoli seksualnej i politycznej kobiet, pomijając wszelkie inne siły i rodzaje suwerenności.

Istnieje alternatywa wobec seksu i władzy, być może nieznamna psychoanalizie, ze względu na jej seksualną aksjomatykę, i tę alternatywę, owszem, wyznacza porządek kobiecy, zarysowujący się poza opozycją męskie/żeńskie – ta bowiem z istoty i zamierzenia jest męska i nie sposób jej przenicować, zarazem jej nie likwidując.

Silą kobiecości jest uwodzenie.

Dzięki zmierzchowi psychoanalizy i seksualności jako struktur mocnych oraz ich oczyszczeniu w ramach przestrzeni psychicznej i molekularnej (będącej właśnie przestrzenią ich definitywnego wyzwolenia), można dostrzec inną przestrzeń (równoległą, w tym sensie, że nigdy nie przecinającą się z tamtymi), której nie interpretuje się już w kategoriach relacji psychicznych czy psychologicznych, czy w kategoriach wyparcia bądź nieświadomości, lecz w kategoriach gry, wyzwania, relacji właściwych pojedynkowi i strategii pozorów: w kategoriach uwodzenia – nade wszystko nie w kategoriach struktury i wyróżniających opozycji, lecz w perspektywie właściwej uwodzeniu inwersyjności – przestrzeń, w której kobiecość nie jest przeciwieństwem tego, co męskie, lecz tym, co męskość uwodzi.

Kobiecość nie jest członem nacechowanym ani nienacechowanym uwodzenia: nie obejmuje już „autonomii” pragnienia czy rozkoszy, utraconej jakoby (?) autonomii ciała, słowa czy pisma, nie upomina się o swoją prawdę, lecz uwodzi.

Oczywiście ta suwerenność uwodzenia może, mocą konwencji, nosić miano kobiecej, podobnie można by utrzymywać, że seksualność jest zasadniczo męska, istotne jednak jest to, że ta forma istniała zawsze – zdalnie projektując kobiecość jako nic, coś, co nigdy się nie „wydarza”, nigdy nie jest tam, gdzie się wydarza (a na pewno nie w „feministycznych” rewindykacjach) – to zaś nie w perspektywie psychicznej czy biologicznej biseksualności, lecz transseksualności właściwej uwodzeniu, którą usiłuje okiełznać cała organizacja seksu, zaś sama psychoanaliza, mająca aksjomatycznie strukturę seksualności, nie jest z tego powodu zasadniczo zdolna do rozprawiania o czymkolwiek innym.

Co ruch kobiecej kontestacji przeciwstawia strukturze falokratycznej? Autonomię, różnicę, specyfikę pożądania i rozkoszy, inny stosunek do kobiecego ciała, mowy, pisma – ale bynajmniej nie uwodzenie. Uwodzenia kobiety wstydzą się, gdyż oznacza sztuczne eksponowanie własnej cielesności, poddaństwo lub prostytutkę. Nie dostrzegają tego, że uwodzenie oznacza panowanie nad przestrzenią symboliczną, podczas gdy władza doty-

czy jedynie przestrzeni rzeczywistej. Suwerenność wpisana w uwodzenie jest niewspółmierna z posiadaniem władzy politycznej lub seksualnej.

Ruch feministyczny łączy z porządkiem prawdy dziwne i zagorzałe współnictwo. Albowiem uwodzenie zwalcza się i odrzuca jako sprzeniewierzenie prawdy o kobiecie, tej, która ostatecznie jest wpisana w jej ciało, w jej pożądanie. Za jednym zamachem zostaje skasowany ogromny przywilej, jakim cieszy się kobiecość: to, że nigdy nie miała dostępu do prawdy, do sensu, i pozostawała absolutną władczynią królestwa pozorów. Uwodzenie posiada immanentną zdolność pozbawiania rzeczy ich prawdy i włączania jej w grę, w grę czystych pozorów i obracania wniwecz wszelkich systemów władzy i sensu: zdolność przenicowywania pozorów, igrania ciałem jako pozorem, a nie otchłannym pożądaniem – pozory wszak można przenicować – i w tej właśnie płaszczyźnie okazuje się, że systemy są kruche i wrażliwe, i że sens poddaje się tylko zauroczeniu.

Anatomia to przeznaczenie, mawiał Freud. Zdziwienie może budzić to, że fakt odrzucenia przez ruch kobiecy tego przeznaczenia, z definicji fallicznego i przypieczętowanego przez anatomię, ujawnia alternatywę, która w zasadzie zachowuje charakter anatomiczny i biologiczny:

„Rozkosz kobiety nie sprowadza się do wyboru między klitoralną aktywnością i waginalną pasywnością. Pieszczota waginalna nie musi wypierać pieszczoty klitoralnej. Obie w sposób niepowtarzalny współdziałają, przynosząc kobiecie rozkosz... Między innymi... pieszczota piersi, dotykanie sromu, rozchylanie warg, ruch posuwisto-zwrotny wywierający nacisk na tylną ściankę waginy, muskanie szyjki macicy etc. w celu wywołania przyjemności specyficznie kobiecych” (Luce Irigaray).

Babskie gadanie? Niezmiennie jednak zakorzenione w anatomii i w ciele. To, co specyficznie kobiece, ujawnia się w dyfrakcji stref erogennych, w erogenności zdecentralizowanej, wielowymiarowej, rozprzestrzeniającej się rozkoszy i przeobrażaniu

się dzięki pożądaniu całego ciała: to *leitmotiv* każdej rewolucji seksualnej i kobiecej, lecz także całej naszej kultury ciała – od *Anagramów* Beilmera do Deleuze’owskich rozgałęzień kombinatorycznych. Zawsze jest to sprawa ciała, jeśli nie w sensie anatomicznym, to przynajmniej organicznym i erogennym, ciała funkcjonalnego, którego przeznaczeniem – nawet w tej formie rozczłonkowanej i metaforycznej – jest rozkosz, zaś naturalnym przejawem – pożądanie. Stąd jedno z dwojga: albo ciało jest w tym wszystkim ledwie metaforą (ale o czym wobec tego mówi rewolucja seksualna i cała nasza kultura, która stała się wszak kulturą ciała?), albo wraz z mową ciała, wraz z mową kobiety zostaliśmy ostatecznie wtajemniczeni w los anatomiczny, w anatomię jako przeznaczenie. Nie ma mowy o jakimś radykalnym przeciwstawieniu się freudowskiej formule.

W żadnym razie nie chodzi o uwodzenie, oddziaływanie ciała poprzez sztuczność, a nie pożądanie, ciała uwiedzionego, ciała do uwiedzenia, ciała odseparowanego w chwili namiętności od jego prawdy, owej etycznej prawdy pożądania, która nas nawiedza – jakże poważnej, głęboko religijnej prawdy ciała, którą dzisiaj ucieleśnia ciało, a dla której uwodzenie jest złem i sztucznością tak samo, jak ongi dla religii – w żadnym razie nie chodzi o ciało wydane na pastwę pozorów.

Otóż jedynie uwodzenie radykalnie przeciwstawia się anatomii jako przeznaczeniu. Tylko ono narusza dystynktywną seksualizację ciała i zakłóca nieuchronnie związaną z nią falliczną ekonomię.

Ruch rozwijany w przekonaniu, że systemy można obalić od strony infrastruktury, grzeszy naiwnością. Uwodzenie działa inteligentniej, niejako samorzutnie, z oślepiającą oczywistością, nie potrzebuje poszukać dowodów i uzasadnień dla siebie – objawia się automatycznie i przenicowuje całą rzekomą głębię rzeczywistości, całej psychologii, anatomii, prawdy, władzy. Wie, i to jest tajemnicą uwodzenia, że nie ma anatomii, nie ma psychologii, że wszystkie znaki są odwracalne. Nic doń nie należy, oprócz pozorów – wymyka mu się wszelka władza, lecz uwodzenie przekształca w nią wszystkie znaki. Czy można się mu przeciwstawić? Oto faktyczna i jedyna stawka: panowanie i strategia pozorów przeciwko potędze bytu i rzeczywistości. Nie spo-

sób wygrywać bytu przeciwko bytowi, prawdy przeciwko niej samej: obalanie fundamentów to pułapka, a przecież wystarczy trochę pomanipulować pozorami.

Otóż kobieta jest tylko pozorem. I właśnie jako pozór kobiecość szachuje męską głębię. Kobiety, miast przeciwstawiać się takiej „uwłaczającej” etykietce, powinny raczej dać uwieść się tej prawdzie, gdyż w niej tkwi sekret ich siły, którą mogą utracić, przeciwstawiając głębi męskości głębię kobiecości.

Przeciwieństwem męskiej głębi nie jest właściwie powierzchwnia utożsamiana z kobiecością, lecz kobiecość jako nierozróżnialność powierzchni i głębi. Albo też nierozróżnialność tego, co autentyczne, i tego, co sztuczne. Takie zasadnicze stwierdzenie, zawierające w sobie cały sens uwodzenia, wypowiedziała Joan Rivière w artykule *La Féminité comme masquerade* („La Psychanalyse”, nr 7): „Kwestia kobiecej autentyczności czy powierzchowności i tak sprowadza się do jednego”.

I dotyczyć to może wyłącznie kobiecości. Męskość bowiem uznaje niewzruszone rozróżnienie prawdziwości i jej bezwzględne kryterium. Męskość to pewność, kobiecość to nierozstrzygalność.

Otóż to stwierdzenie dotyczące kobiecości, iż samo rozróżnienie między tym, co autentyczne, i tym, co sztuczne, traci w niej rację bytu, zarazem definiuje – rzecz osobliwa – przestrzeń naśladowania: tutaj nie ma bowiem już miejsca na ewentualne rozróżnienie między rzeczywistością a jej modelami – jak istnieje tylko realność, którą emanują naśladowane modele, tak istnieje tylko kobiecość pozorów. Podobnie bowiem jak w jej przypadku, naśladowanie oznacza nierozstrzygalność.

Ta osobliwa zbieżność wskazuje na właściwą kobiecości dwuznaczność: całkowicie potwierdza naśladowczość, a równocześnie oferuje jedyną możliwość wyjścia poza naśladowanie – właśnie poprzez uwodzenie.

Wieczna ironia wspólnoty

*Ta kobiecość,
wieczna ironia wspólnoty.*
Hegel

Kobiecość jako zasada niepewności.

To ona zakłóca układ biegunów seksualności. Nie jest biegunowym przeciwieństwem męskości, lecz uchyla dystyngtywne rozróżnienie, a więc i samą seksualność ta bowiem jak wciełała się w dziejach w męską fallokrację, tak jutro może się wcielić w fallokrację żeńską.

Jeśli kobiecość jest zasadą niepewności, to jej chwiejność nasila się, gdy niepewność rośnie, jak choćby w zabawie w kobiecość.

Transwestytyzm. Ani homo-, ani transseksualiści, bo właśnie zabawa nierozróżnialnością jest tym, co lubią transwestytcy. Źródłem uroku, jaki wywierają, także w stosunku do siebie, jest seksualne rozchwianie, a nie, jak się przyjęło, czar, jaki nawzajem wywierają na siebie obie płcie. Tak naprawdę nie kochają ani mężczyzn/mężczyzn, ani kobiet/kobiet, ani tych, którzy sami się określają przesadnie jako istoty seksualnie odrębne. Warunkiem istnienia płci jest bowiem podwajanie przez znaki bytu biologicznego. W tym zaś przypadku znaki funkcjonują osobno, nie można więc mówić w sensie ścisłym o płci, transwestytcy zaś lubują się właśnie w owej grze znaków, roznamietnia ich możliwość uwiedzenia samych znaków. Wszystko u nich jest makijażem, teatrem, uwodzeniem. Sprawiają wrażenie ludzi opętanych przez grę płci, przede wszystkim jednak przez samą grę, a jeśli wydaje się, że seksualność naznacza ich życie w większym stopniu niż nasze, to dlatego, że seksualność jest w ich przypadku grą totalną – grą na gesty i zmysły, ponadto grą rytualną, pełnym egzaltacji, ale i ironii, wyzwaniem.

Nico nie wydawałaby się tak piękna, gdyby jej kobiecość nie była od początku do końca odgrywana. Emanowała z niej nie tylko uroda, jakże wzniosła, lecz także zupełnie inny uwodziecielski czar. Stąd rozczarowanie, gdy okazało się, że jest fałszy-

wę *drag queen* – najprawdziwszą kobietą bawiącą się w przebie-
rankę. Nie-kobiecie udającej kobietę łatwiej poruszać się wśród
znaków i doprowadzić uwodzenie do skrajności niż kobiecie
prawdziwej, już usprawiedliwionej przez własną płęć. Tylko
nie-kobieta udająca kobietę może wzbudzić czystą fascynację,
ponieważ sam/a jest bardziej uwodzicielska niż seksualna. Fa-
scynacja mija, gdy ujawnia się rzeczywista płęć, choć oczywiście
wtedy może dojść do głosu inne pożądanie, które jednak nie bę-
dzie eksplorować owej doskonałości, którą zawierać może wy-
łącznie sztuczność.

Uwodzenie zawsze góruje niezwykłością i wzniosłością nad
seksem i właśnie do niego przywiązujemy najwyższą wagę.

Podłoża biseksualności nie należy szukać w transwestyty-
zmie. Albowiem płęć i orientacje seksualne – pomieszane czy
ambivalentne, nieokreślone czy inwersyjne – zachowują swoją
realność i poświadczają istnienie psychicznej rzeczywistości
płci. Natomiast zaciera się tutaj sama definicja seksualności.
I nie jest to gra perwersyjna. Perwersyjność polega na odwróce-
niu członów relacji, tymczasem tutaj nie ma członów, które da-
łoby się odwrócić, są tylko znaki, które można uwieść.

Nie należy też szukać odpowiedzi w nieświadomości czy
w „utajonym homoseksualizmie”. Stara kazuistyka utajenia,
sama będąca wytworem seksualnego imaginarium powierzchni
i głębi, zawsze podsuwa diagnozę objawową i zakłada możliwość
poprawy. Sformułowanie „to nie ma nic wspólnego z utajeniem”
całkowicie podważa samą hipotezę ukrytej rozstrzygającej in-
stancji płci, hipotezę głębokiej gry fantazmatów, która urucha-
miałaby toczącą się na powierzchni grę znaków. Tymczasem
przeciwnie, wszystko rozgrywa się w tym zawrotnym odwróce-
niu, polegającym na przeistoczeniu płci w znaki będące tajem-
nicą uwodzenia.

Być może nawet uwodzicielskie zdolności transwestyty po-
chodzą wprost z parodii – operującej nadznaczeniowością paro-
dii płci. Prostytucja transwestyty nabierałaby zatem innego
sensu niż pospolita prostytucja kobiet. Bliższa byłaby uświęco-
nej prostytucji starożytnych (czy świętego statusu hermafrody-
ty). Kojarzy bowiem makijaż i teatralność w rytualnej i parody-
stycznej demonstracji płci, która nie zna rozkoszy.

Samo uwodzenie podszyte jest w tym wypadku parodią,
w której ujawnia się nieprzejednana drapieżność wobec kobiet,
a którą można by interpretować jako zaaranżowany przez męż-
czyzną zabór atrybutów uwodzenia, jakimi posługuje się kobie-
ta. Transwestyta odtwarzałby w ten sposób sytuację pierwotne-
go wojownika – który uwodzi w pojedynkę, gdy kobieta jest ni-
czym (w tym miejscu przychodzi na myśl faszyzm i jego podo-
bieństwo do transwestytyzmu). Ale czyż nie chodziłoby tu ra-
czej o unieważnienie płci niż jej uzupełnianie? I czy nie oznacza-
łoby to, że męskość, małpując kobiecość, rezygnuje ze swego
statusu i swych przywilejów, żeby stać się kontrapunktowym
elementem rytualnej gry?

Ta parodia kobiecości nie jest w żadnym razie aż tak okrut-
na, jak mogłoby się wydawać, ponieważ chodzi o kobiecość wy-
kreowaną w męskiej wyobraźni i przez mężczyzn inscenizowa-
ną – także w ich fantazjach. Kobiecość przerysowana, zdegrado-
wana, sparodiowana (w Barcelonie *drag queens* mają wąsy i ob-
noszą się z owłosionymi torsami) ma oznaczać, że w tym społec-
zeństwie sprowadza się zaledwie do znaków, którymi ją przy-
strajają mężczyźni. Przesadne naśladowanie kobiecości ma
oznaczać, że kobieta jest tylko modelem męskiego naśladowa-
nia. Odgrywanie kobiety to zarazem wyzwanie rzucone modelo-
wi kobiecemu poprzez zabawę w kobietę, wyzwanie rzucone ko-
biecie za pomocą kobiety/znaku i niewykluczone, że taka żywa,
fingowana demaskacja, balansująca na granicy sztuczności, od-
grywająca, a zarazem udaremniająca działanie mechanizmów
kobiecości, jest wyrazistsza i radykalniejsza niż wszystkie ide-
ologiczno-polityczne roszczenia kobiecości „wyalienowanej
w swoim jestestwie”. A zatem kobiecość rzekomo nie posiada je-
stestwa (natury, stylu, właściwych sobie rozkoszy, ani, jak ma-
wiał Freud, właściwego sobie libido). Na przekór wszelkim pró-
bom znalezienia autentycznej kobiecości, języka kobiety etc.,
twierdzimy, że kobieta jest niczym i że w tym tkwi jej siła.

I jest to reakcja bardziej wyrafinowana niż frontalny odpór,
z jakim teoria kastracji spotyka się w feminizmie. Teorii tej bo-
wiem przeciwstawione zostaje przeznaczenie wyrażone w kate-
goriach symboliki, a nie anatomii, które naznacza piętnem
wszelką możliwą seksualność. Tę regułę może zatem obalić je-

dynie parodia, eksponowanie ekscentryczności znaków kobiecości, podwojenie znaków, ucinające biologiczne czy metafizyczne nierozstrzygalności płci: tym właśnie jest makijaż – triumfującą parodią, rozwiązaniem odwołującym się do przesady, polegającym na przejawianym powierzchwnym naśladowaniu owego naśladowania głębokiego, jakim jest właśnie symboliczne prawo kastracji – transseksualną grą uwodzenia.

Ironia sztuczności: władza cechująca kobietę stosującą makijaż lub prostytuującą się, związana z umiejętnością przejawiania rysów, przeobrażania ich w coś więcej niż znaki, oraz – poprzez wykorzystanie fałszu, nie jako przeciwieństwa prawdy, lecz fałszu jeszcze większego – osiągnięcia w ten sposób apogeum seksualności, a zarazem pogrążania się w żywiole naśladowania. To ironia dookreślająca charakter kobiety jako idola czy obiektu seksualnego: kładzie kres grze płci i jako zamknięta doskonałość przywraca mężczyźnie, panu i władcy rzeczywistości seksualnej, jego przezroczystość jako podmiotowi wyobrażonemu. Jest to ironiczna władza przedmiotu, którą kobieta traci, uzyskując nominację na podmiot.

Cała męska władza sprowadza się do produkowania. Wszystko, co zostaje wytworzone, choćby kobieta jako istota żeńska, należy do rejestru władz męskich. Jedyną natomiast nieodpartą władzą żeńską jest zdolność uwodzenia. Kobieta sama w sobie jest niczym i niczego na własność nie posiada – z wyjątkiem zdolności uchylania władzy produkowania. Tę jednak uchyla zawsze.

Zresztą, czy władza falliczna w ogóle istniała? Czy cała ta historia patriarchalnej dominacji, fallokracji, prastarego przywileju męskości nie jest aby wyssaną z palca opowieścią? I to poczynając od tego, że wymianę kobiet w społeczeństwach prymitywnych idiotycznie interpretuje się jako pierwszy etap dziejów kobiety-przedmiotu. Wszystko, co na ten temat opowiadano – cały ten uniwersalny dyskurs o nierówności płci, będący leit-motivem egalitarnej i rewolucyjnej nowoczesności, słyszalny do dzisiaj, wzmocniony przez siły udaremniionych rewolucji – to jeden wielki nonsens. Wszelkie pozory słuszności posiada nato-

miast hipoteza przeciwna, która ponadto jest pod pewnym względem ciekawsza – że mianowicie kobiecość nigdy nie zajmowała pozycji zdominowanej, lecz zawsze dominującą. Kobiecość nie jako płeć właśnie, lecz jako forma idąca w poprzek płciowości i wszelkiej władzy, jako ukryta i niebezpieczna forma bepcłciowości. Jako wyzwanie, którego niszczące skutki wyczuwa się dzisiaj na całym obszarze seksualności. I czyż to, wyzwanie obejmujące także uwodzenie nie było zawsze triumfalne?

W tym sensie męskość byłaby od początku tworem szczątkowym, wtórnym i kruchym, którego trzeba było bronić za pomocą obwarowań, instytucji i wybiegów. Twierdza falliczności posiada wszelkie znamiona warowni, to znaczy oznaki słabości. Trwa tylko i wyłącznie dzięki fortyfikacjom, jakie tworzy jawna seksualność, teleologia seksu wyczerpująca się w reprodukcji lub rozkoszy.

Można zaryzykować hipotezę, iż kobiecość to płeć jedyna, a męskość istnieje tylko o tyle, o ile nadludzkim wysiłkiem się z niej wyrwa: chwila nieuwagi i ponowny upadek w kobiecość. Można by więc mówić o kategoriycznym uprzywilejowaniu kobiecości i definitywnej ułomności męskości – na szyderstwo zakrawa dążenie do „wyzwolenia”, kończące się zgodą na wątłą „władzę”, ekscentryczny, paradoksalny, paranoiczny i nużący status, jakim cieszy się męskość.

Baśń seksualna odwraca porządek baśni fallicznej, w której kobieta powstaje z mężczyzny w efekcie odejmowania (żebra) i powiada, że to mężczyzna pochodzi od kobiety – mocą wyjątku. Ta baśń z powodzeniem znalazłaby oparcie w analizach przedstawionych przez Bettelheima w *Ranach symbolicznych*: swoją władzę i instytucje mężczyźni ustanowili jedynie po to, by przeciwstawić się pierwotnym, o wiele wyższym możliwościom kobiety. Motorem nie jest więc zazdrość o penis, lecz przeciwnie – męska zazdrość o kobiecą zdolność wydawania potomstwa. Ów kobiecy przywilej okazał się niewybaczalny, więc należało za wszelką cenę wymyślić nowy męski ład – społeczny, polityczny, gospodarczy, w ramach którego można by ów naturalny przywilej okroić. W porządku rytualnym zwyczaję zawłaszczania oznak płci przeciwnej kultywowane są na ogół przez mężczyzn: są to ofiarowania, okaleczenia, sztuczne waginizacje, obrzędy kuwady itp.

Wszystko to jest przekonujące na miarę paradoksalności samej hipotezy (przecież ciekawszej niż się przyjęło), która jednak w istocie sprowadza się do odwrócenia członów i przedstawienia kobiecości jako substancji pierwotnej, swego rodzaju antropologicznej infrastruktury. Przekształca uwarunkowania anatomiczne, choć zarazem utrwała je jako przeznaczenie – i „ironia kobiecości” ponownie ginie.

Owa ironia ginie, gdy kobiecość ustanawia się jako płęć i to przede wszystkim po to, by ujawnić ucisk, jakiemu podlega. Wieczne złudzenie oświeceniowego humanizmu dążącego do wyzwolenia płci uciśnionej, uciśnionej rasy i klas uciśnionych na warunkach określonych przez ich poddaństwo. Niech kobiecość stanie się płcią na własnych prawach! Niedorzeczność, jeśli nie formułuje się tego ani w kategoriach płci, ani władzy.

Kobiecość nie należy ani do porządku równoważności, ani do porządku wartości: a więc nie rozmywa się we władzy. Nie jest nawet wywrotowa, jest odwracalna. Władza natomiast rozmywa się w kobiecej odwracalności. O ile więc na płaszczyźnie „faktów” nie sposób rozstrzygnąć, co, męskość czy kobiecość, dominowało na przestrzeni wieków (i znowu okazuje się, że teza o ucisku kobiecości opiera się na karykaturalnym micie fallokratycznym), o tyle jest oczywiste, że na płaszczyźnie seksualności forma odwracalna przewyższa formę linearną. Forma wykluczona skrycie dominuje nad formą panującą. Forma uwodzicielska – nad produkcją

W tym sensie kobiecość znajduje się po tej samej stronie, co szaleństwo. Szaleństwo wszak ze względu na swoją ukrytą dominację musi zostać podporządkowane normie (między innymi dzięki pojęciu nieświadomości). Kobiecość zaś ze względu na skrytą dominację musi zostać ponownie włączona w obieg i poddana normie (zwłaszcza jeśli chodzi o wyzwolenie seksualne).

I o rozkosz.

Jedną z często eksponowanych cech ucisku kobiet jest to, że zostały obrabowane z rozkoszy, pozbawione przyjemności seksualnej. Wszyscy powinniśmy niezwłocznie przystąpić do naprawienia tej rażącej niesprawiedliwości w rytmie biegu długo-

dystansowego lub seksualnych wyścigów. Rozkosz nabrała waluoru potrzeby i prawa podstawowego. Choć jest najświeższym z praw człowieka, dostąpiła godności imperatywu kategorycznego i przeciwstawianie się mu jest rzeczą niemoralną. Ów imperatyw nie posiada jednak kantowskiego uroku teleologii bez telosu. Narzuca się jako regulacja i samoregulacja pożądania, toteż podobnie jak prawa nie wolno go lekceważyć.

Oznacza to jednak również niedostrzeganie zwrotności rozkoszy, a więc tego, iż w przypadku braku czy odmowy rozkoszy natężenie może wzrosnąć. I właśnie gdy cel seksualności odzyskuje swój niewymuszony charakter, pojawia się – jak je można nazwać – uwodzenie lub rozkosz. Albo też sama rozkosz staje się jedynie pretekstem dla innej, bardziej podniecającej, jeszcze namiętniejszej zabawy. Tak właśnie dzieje się w *Imperium zmysłów*, gdzie chodzi o dotarcie do granicy rozkoszy i jej przekroczenie – wyzwanie przewyższające działanie czystego pożądania, ze względu na jeszcze zawrotniejszą logikę i związek z namiętnościami, a nie samym popędem.

Równie zawrotne może jednak okazać się także odrzucenie rozkoszy. Kto wie, czy kobiety bynajmniej nie „ograbiane” z rozkoszy, od niepamiętnych czasów nie prowadziły własnej gry, triumfalnie rezerwując dla siebie prawo do seksualnej powściągliwości, to jest, czy aby ich głęboka wstrzemięźliwość nie oznaczała wyzwania, a raczej sprzeciwu, kwestionującego wyłączną męskość rozkoszy? Kto wie, jak dalece destrukcyjna była ta prowokacja i na ile wszechogarniająca. Skazany na samotną rozkosz mężczyzna, uganiający się za przyjemnościami i zajęty podbojami, nie zdołał przed nią umknąć.

Kto zwyciężył w grze tych przeciwnych strategii? Najwyraźniej mężczyzna i to na całej linii. Ale nie ma pewności, czy aby sam się nie pogubił i nie ugrzązł na tym terenie, podobnie jak na terenie władzy – uciekając przed siebie, gdzie żaden kapitał, żadna kalkulacja nie zapewni mu ocalenia, ani nie uchroni go od cichej rozpaczki z powodu tego, co mu umknęło. Ale koniec był nieuchronny i kobiety musiały odzyskać rozkosz. Trzeba było podjąć kroki zmierzające do wyzwolenia kobiet i zapewnienia im rozkoszy – kładąc kres temu nieznośnemu wyzwaniu, za sprawą którego rozkosz sama się unicestwiła w strategii wstrze-

mięźliwości. Albowiem rozkosz obywa się bez strategii: jest energią poszukującą ujścia. Jest więc zdecydowanie poniżej wszelkiej strategii: może zostać w niej wykorzystana w charakterze tworzywa, tak jak pożądanie w charakterze elementu taktycznego. To główny temat osiemnastowiecznej seksualności libertyńskiej, od Laclos do Casanovy i de Sade'a (nie wyłączając Kierkegaarda jako autora *Dziennika uwodziciela*), dla której seksualność to jeszcze ceremonia, rytuał i strategia, która dopiero później wraz z prawami człowieka i psychologią zanurzyła się w prawdzie objawionej seksu.

Mamy więc epokę pigułki i asygnaty na rozkosz. Koniec z prawem do wstrzemięźliwości seksualnej. Kobiety muszą sobie uświadomić, że pozbawiano je czegoś zbyt ważnego, by mieć opory (widma wszystkich „przegapionych” orgazmów) przed „racjonalnie uzasadnionym” przyjęciem pigułki. Na takiej samej zasadzie całe pokolenia broniły się przed szkołą, medycyną, ubezpieczeniem i pracą. Ta sama głęboka intuicja dotyczy spustoszeń, jakie wywołuje nieograniczona wolność, swoboda wypowiedzania się i wolność odczuwania rozkoszy: wyzwanie, kolejne wyzwanie nie jest już możliwe, szantaż nieustannej erekcji (bez uwzględnienia tendencji do obniżania poziomu samej rozkoszy?) wyeliminował logikę symboli.

„Tradycyjna” kobieca seksualność nie została ani wyparta, ani objęta zakazem: kobieta niezmiennie zachowała swój status, nie została pokonana, nie pozostała też bierna, ale też nie marzyła o przyszłym „wyzwoleniu”. To pięknoduchy mówią z perspektywy czasu o kobietach jako istotach odwiecznie wyobcowanych, następnie wyzwolonych. I tkwi w tej wizji głęboka pogarda, taka, jaką okazywano w stosunku do „wyalienowanych” mas, które rzekomo były w stanie zdobyć się co najwyżej na egzystencję błędnej owcy.

Jakże łatwo kreśli się taki obraz kobiety wyobcowywanej na przestrzeni wieków, po to, by następnie pod auspicjami rewolucji i psychoanalizy otworzyć przed nią bramy pożądania. Jakie to wszystko proste i jakie w tej prostocie bezwstydne – gorzej, istna emanacja seksizmu i rasizmu: litość.

Na szczęście kobiecość nigdy nie pasowała do tego opisu. Zawsze kierowała się własną strategią, strategią nieustannego i zwycięskiego wyzwania (której najważniejszym przejawem jest uwodzenie). Nie ma co opłakiwać szkód, jakich kobieta doznała i dążyć do ich naprawienia. Nie ma co przywdziewać szat obrońców słabej płci. Nie trzeba też składać wszystkiego na karb wyzwolenia i pożądania, których rąbek tajemnicy został uchylony dopiero w XX wieku. Gra toczyła się nieprzerwanie na całego, z użyciem wszystkich kart i wszystkich atutów, na całej przestrzeni dziejów. I to nie mężczyźni ją wygrali, bynajmniej. Dopiero teraz kobiety zaczynają przegrywać, właśnie pod szyldem rozkoszy – ale to już całkiem inna historia.

Jest to współczesna historia kobiecości w kulturze, która wszystko wytwarza – rozmiłowanej w rozkoszy i rozgadanej. Awans kobiecości jako płci posiadającej własne prawa (równość praw, równość rozkoszy), kobiecości jako wartości kosztem kobiecości jako zasady niepewności. Ta strategia nadawania prawa, statusu i przydzielania kobiecej rozkoszy streszcza całe wyzwolenie seksualne. Przejawia się w ustawicznym eksponowaniu i prezentowaniu kobiecości jako płci, zaś orgazmu jako powtarzalnego dowodu płci.

Jasno wyraża to pornografia. Jako trylogia otwarcia, rozkoszy i znaczeniowości, pornografia promuje kobiecą rozkosz seksualną w sposób przejawiony tylko dlatego, że chce skuteczniej ukryć niepewność, jaką wzbudza ów „czarny ład”. Koniec tej „wiecznej ironii wspólnoty”, o której mówił Hegel. Odtąd kobieta będzie doznawać rozkoszy i będzie wiedzieć dlaczego. Kobiecość ujawni się w całej okazałości – jako symbol orgazmu, orgazm zaś jako symbol seksualności. Żadnej niepewności, żadnych tajemnic. Zaczyna się radykalna obsceniczność.

Salo, czyli 120 dni Sodomy Pasoliniego – prawdziwy zmierzch uwodzenia: nieubłagana logika uchyla wszelką odwraćalność. Wszystko jest w niej nieodwracalnie męskie i tchnie śmiercią. Nie można nawet mówić o współnictwie oprawców

i ofiar, ich rozwiązłej wymiennosci: beznamietna tortura przeprowadzana bez jakiegokolwiek emocji, chłodna kalkulacja (gdzie wyraźnie widać, iż rozkosz to faktycznie wykorzystywanie ciała w sposób przemysłowy i przeciwieństwo wszelkiego uwodzenia: ekstrakt, techniczny produkt maszynierii ciał, logistyka doznawania rozkoszy, która prowadzi prosto do celu, odnajdując w końcu martwy obiekt).

Ten film stanowi ilustrację prawdy, iż w dominującym systemie męskim, w każdym dominującym systemie (który tym samym staje się męski), ucieleśnieniem odwracalności, możliwości gry i symboliczności jest kobiecość. *Salo* przedstawia świat całkowicie wyprany z tego minimum uwodzenia, które określa stawkę nie tylko seksu, lecz każdej relacji, w tym śmierci i jej zamiany (czego wyrazem jest w *Salo*, podobnie jak u Sade'a, panowanie sodomii). I właśnie tutaj wyraźnie widać, że kobiecość to nie płeć, przeciwstawiona drugiej płci, lecz coś, co oddaje płci pełnię praw i pełnię doznań, płci, która posiada monopol na seks – ogarniętej lękiem przed innością męskości, której płeć jest tylko formą odczarowaną: że kobiecość to uwodzenie. Uwodzenie jest grą, płeć jest funkcją. Uwodzenie należy do porządku rytualnego, płeć i pożądanie należą do porządku naturalnego. W męskości i kobiecości chodzi o starcie tych właśnie dwóch podstawowych form, a nie jakieś różnice biologiczne czy naiwną rywalizację o władzę.

Kobiecość to nie tylko uwodzenie, to także wyzwanie rzuczone męskości, w którym stawką jest płciowość, monopol na nią i na rozkosz, dotarcie do granic tej hegemonii i sprawowania jej nawet za cenę śmierci. Pod presją tego wyzwania nieprzerwanie ciężącego na dziejach seksualności w naszej kulturze, dzisiaj załamuje się nie mogąca mu sprostać fallokracja. Zagrożone jest bodaj całe nasze wyobrażenie o seksualności, ponieważ wznosi się wokół falliczności i pozytywnej definicji płci. Każda forma pozytywna dostosowuje się oczywiście do swojej formy negatywnej, lecz tę odwracalność uznaje za śmiertelne wyzwanie. Każda struktura może przystosować się do przewrotu lub przekształcenia, lecz nie do odwrócenia tworzących ją elementów. Taką odwracalną formą jest uwodzenie.

Nie chodzi o uwodzenie, z którym historycznie kojarzono kobiety zamknięte w getcie kultury gineceum, szminki i koronek, o uwodzenie odbite w lustrze sceny i kobiecej wyobraźni, grę płci i podstęp (choć akurat tutaj ocalał jedyny w kulturze zachodniej rytuał ciała, podczas gdy wszystkie inne, w tym grzeszność, zanikły), lecz o uwodzenie jako ironiczną, alternatywną formę, która rozbija referencyjność płci, nie o przestrzeń pożądania, lecz gry i wyzwania.

W najbanalniejszej uwodzicielskiej rozgrywce zarysowuje się taki oto schemat: umygam, to nie ty sprawisz mi rozkosz, lecz ja zabawię się tobą, i ograbię cię z rozkoszy. Gra niepewności, która chyba nie jest wyłącznie strategią seksualną. Jest bowiem raczej strategią przemieszczenia (*se-ducere* – uwieść – zaprowadzić na ubocze, sprowadzić z drogi), polegającą na sprzeniewierzeniu prawdy płci: grać to nie to samo, co doznawać rozkoszy. Uwodzenie jako namietność oraz gra w przestrzeni znaków posiada pewną suwerenność i w dłuższej perspektywie zwycięża, ponieważ tworzy porządek odwracalny i nieokreślony.

Uroki uwodzenia to o wiele więcej niż w chrześcijaństwie pociecha, jaką przynoszą radości życia. Tę radość niekiedy traktuje się jako cel naturalny – stąd ataki wściekłości, gdy nie udaje się go osiągnąć. Jednakże kochanie nie ma nic wspólnego z popędem, chyba że chodziłoby o ujęcie libidalne naszej kultury, które zakładałoby, iż kochanie jest wyzwaniem i stawką – kochać to rzucić innemu wyzwanie, by odwzajemnił miłość; zaś być uwiedzionym, to rzucić innemu wyzwanie, by dał się uwieść (nie ma świetniejszego argumentu niż zarzucenie kobiecie, iż nie sposób jej uwieść). W tej perspektywie innego sensu nabiera perwersja: to udawanie, iż zostało się uwiedzionym, podczas gdy w ogóle nie jest się na nie podatnym.

Prawo uwodzenia to przede wszystkim reguła nieprzerwanej rytualnej wymiany, wzajemnej niekończącej się licytacji uwodzącego i uwodzonego, która nie może dobiec końca, gdyż granica określająca zwycięstwo jednej strony i porażkę drugiej jest nieczytelna i dopiero śmierć kładzie kres kolejnym rzucałym innemu wyzwaniom potęgującym uwiedzenie i zakochanie. Natomiast sam seks kończy się prędko i banalnie: orgazmem jako bezpośrednim przejawem zaspokojenia pożądania.

Tak pisze Roustang w *Un destin si funeste* (s. 142-143):

„W analizie ujawnia się wielkie niebezpieczeństwo, jakie może ściągnąć na siebie człowiek, który spełnia żądanie kobiety oczekującej rozkoszy. Jeśli poprzez pożądanie kobieta zmienia niezmiennosc, w której mężczyzna nie może jej nie zamykać, jeśli sama staje się natychmiastowym i nieokiełznanym żądaniem, jeśli już nie tkwi w tym zamknięciu i ono jej już nie krępuje, wówczas mężczyzna zostaje doprowadzony do stanu bliskiego samobójstwa. Żądanie niecierpiące zwłoki, wymówki, żądanie bezgraniczne pod względem siły i trwania, unicestwia absolut reprezentowany przez kobietę, kobiecą seksualność, a nawet kobiecą rozkosz... Kobięca rozkosz zawsze może zostać ponownie ubóstwiona, natomiast oczekiwanie rozkoszy przez kobietę, z którą mężczyzna jest związany, bez możliwości ucieczki, wywołuje u mężczyzny dezorientację oraz wrażenie czystej przypadkowości... Gdy pożądanie bez reszty przechodzi w żądanie, świat się wali i następuje rozpad. I to bez wątpienia jest powód, dla którego nasza kultura przykazała kobietom, by nie żądały niczego – dlatego, by nauczyły się niczego nie pożądać”.

A to „pożądanie bez reszty przechodzi w żądanie”? Czyżby nadal chodziło o kobiece „pożądanie”? Czy nie jest to charakterystyczny objaw szaleństwa, które niewiele ma wspólnego z „wyzwoleniem”? Cóż to za nowa żeńska forma bezgranicznego pożądania seksualnego, niepowstrzymane żądanie zaspokojenia rozkoszy? I tu właśnie odnajdujemy punkt graniczny, ku któremu pędzi nasza kultura – rację ma Roustang – przybierając formę samobójczej przemocy: co dotyczy zarówno mężczyzn, kobiet, jak i w ogóle seksualności.

„Nie zwracamy się do tych, którzy kochają wyłącznie kobiety; do tych, którzy kochają mężczyzn; tych, którzy kochają dzieci (starców, sadystów, masochistów, psy, koty)... Nowy bojownik, wyrafinowany i egocentryczny, domaga się uznania swojego rasizmu seksualnego, swojej seksualnej niepowtarzalności. Lecz sekciarstwu się przeciwstawiamy. Jeśli trzeba stać się mizoginem, by zostać pederastą; androfobką, by zostać lesbijką... jeśli

trzeba zrezygnować z nocnych rozkoszy, schadzek, jazdy autostopem, by uniknąć gwałtu, to w imię zwalczania niektórych zakazów trzeba będzie przywrócić inne tabu, zasady moralne, normy, osłony.

[...]

W naszym ciele nie doświadczamy jednej płci czy dwóch, lecz ich wielości. Nie widzimy mężczyzny czy kobiety, lecz antropomorficzną (!) istotę ludzką [...] Wszystkie stereotypowe bariery kulturowe, podziały fizjologiczne dotykają nas jako istot cielesnych [...] Dzielimy się na mężczyzn i kobiety, dorosłych i dzieci, cioty, lesby i pedziów, dymających i dymanych. Nie godzimy się na to, by nasze bogactwo seksualne sprowadzone było do jednej płci. Nasz safizm to tylko jeden z aspektów naszej seksualności. Nie chcemy przykrawać swej tożsamości zgodnie w wymaganiami naszego społeczeństwa, to znaczy grać roli hetero, lesbijki, pedzia, czy tej wyznaczonej przez cały repertuar wytworów reklamy. Naszym pożądaniem nie kieruje zdrowy rozsądek”¹.

Nieokiełznanne szaleństwo seksualne, wzmożone pożądanie i oczekiwanie na zamówienie jego zaspokojenia – czy to aby nie obala tego, o czym pisał Roustang: o ile do dzisiaj przykazywano kobietom, by nie żądały niczego – dlatego, by nauczyły się niczego nie pożądać – to czy teraz z tego samego powodu nie każe się im żądać czego dusza zapragnie? Czyżby seksualne zaspokojenie pozwalało rozszyfrować cały czarny ład?

A zatem męskość leżałaby bliżej bieguna Prawa, natomiast kobiecość – bliżej bieguna rozkoszy. Ale czy sama rozkosz nie należy do aksjomatyki takiego rozszyfrowanego seksualnego uniwersum, którego wyzwolicielską i żeńską współrzędną stworzyło stopniowe osłabienie Prawa; rozkosz będąca przejawem Prawa osłabionego, Prawa, które, będąc ongi zakazem rozkoszy, przerodziło się w jej nakaz? Efekt odwrotnej symulacji: rozkosz, stając się następstwem działania Prawa, żąda jawnej autonomii. W przeciwnym razie Prawo upada i na jego gruzach podpisana zostaje nowa umowa, podyktowana przez rozkosz. Co ważne: nic się nie zmienia, a inwersja znaków jest wyłącznie następ-

¹ „Libé”, lipiec 1978, Judith Belladonna Barbara Penton.

stwem strategii. Taki jest sens obecnego przewrotu i uprzywilejowania bliźniaczej pary – kobiety i rozkoszy – kosztem męskości i zakazu rządzących ongi rozumem seksualnym. Wyniesienie kobiecości okazuje się idealnym instrumentem pozwalającym na bezprecedensowe uogólnienia i dokonanie dalszej kontrolowanej ekspansji rozumu seksualnego.

Nieoczekiwane zrządzenie przykrawa złudzenia ożywiające pożądanie i wyzwolicielskie racjonalizacje. Marcuse:

To, co w systemie patriarchalnym uchodziło za kobiecą antytezę wartości męskich, faktycznie konstytuowałoby stłumioną społeczną i historyczną alternatywę – alternatywę socjalistyczną [...] Skończyć ze społeczeństwem patriarchalnym to tyle, co zerwać z przypisywaniem kobiecie specyficznie kobiecych cech, a tym samym przenieść te cechy na wszystkie sektory życia społecznego, obejmując nimi zarówno pracę zarobkową, jak i czas wolny. Wyzwolenie kobiety oznaczałoby więc jednocześnie wyzwolenie mężczyzny [...]

(Actuels, Galilée, s. 33)

Kobiecość wyzwolona i oddana na służbę do nowego zbiorowego Erosa (identyczny tryb postępowania, jak w przypadku popędu śmierci – ta sama znosząca dialektyka zrównania na płaszczyźnie nowego społecznego Erosa). Ale co się dzieje, gdy kobiecość, nie będąc bynajmniej zespołem specyficznych cech (co może się zdarzyć, gdy są stłumione, ale tylko wtedy), okazuje się, jako już „wyzwolona”, jedynie wyrazem erotycznej nieokreśloności i traci owe specyficzne cechy zarówno w sferze społecznej, jak i seksualnej?

Uwodzenie naznaczało kobiecość piętnem wszechmocnej ironii, równie wszechmocna jest ona dzisiaj ze względu na nieokreśloność kobiecości i ową dwuznaczność, która sprawia, że jej awansowi na podmiot towarzyszy nagłe zaostrzenie jej statusu jako przedmiotu, jako uogólnionej pornografii. Dziwna zbieżność, o którą rozbija się ruch wyzwolenia kobiet, domagający się rozgraniczenia. Lecz jest to sprawa beznadziejna, gdyż znacząca jest właśnie zasadnicza dwuznaczność. Nawet tekst Roustanga, raczej dowartościowujący falę kobiecych żądań, nie

może ukryć niebezpieczeństwa, jakie dla kobiety stanowi przeobrażenie całego pożądania w żądanie. Jeśli bliskiego samobójstwu stanu wywołanego w człowieku przez to żądanie nie traktuje się jako argumentu rozstrzygającego, to nic nie pozwala odróżnić potwornego żądania zaspokojenia kobiecej rozkoszy od potworności jej całkowitego zakazywania w dawniejszych czasach.

Podobna dwuznaczność znamionuje również męskość i jej osłabienie. Popłoch, jaki wywołuje w mężczyźnie „wyzwolony” żeński podmiot, porównywalny jest jedynie z jego kruchością w obliczu pornograficznej otchłani „wyalienowanego” żeńskiego seksu, żeńskiego obiektu seksualnego. Niezależnie od tego, czy kobieta domaga się rozkoszy, „uświadamiając sobie racjonalność swojego pożądania”, czy oddaje się jej jako zdeklarowana prostytutka – jako podmiot lub przedmiot, wyzwolony bądź sprostytuowany – zawsze czyni to z nakazu płci, otchłannej pożądliwości, żarłoczności. Nieprzypadkowo cała pornografia kręci się wokół żeńskiego seksu. Dlatego że erekcja nigdy nie jest pewna (w porno nie ma scen impotencji, zostaje wyparta przez złudzenie bezwzględnej kobiecej gotowości). W seksualności, której osią staje się żądanie nieustannego popisywania się i wykazywania, zachwianiu ulegnie wyeksponowana pozycja mężczyzny. Natomiast kobieca seksualność ze względu na dostępność, otchłanność, wyzerowanie, pozostanie taka sama. Stałość kobiecej seksualności, wyraźnie innej od chwiejnej seksualności męskiej, przesądza o jej wyższości w dziedzinie przedstawiania fizjologii rozkoszy, wyobrażenia nieprzerwanej orgii, które opowiadało nasze fantazje.

Wyzwolenie seksualne, tak samo jako wyzwolenie sił wytwórczych, właściwie nie ma końca. Domaga się obfitości, „sex affluent society”. Nie może tolerować niepowszechności dóbr seksualnych, tak samo jak dóbr materialnych. A tę właśnie utopijną ustawiczność i dostępność ucieleśnia żeński seks. Dlatego właśnie w tym społeczeństwie wszystko – wszelkiego rodzaju przedmioty, dobra, usługi, stosunki – zostaną sfeminizowane i na modłę żeńską zseksualizowane – w reklamie jest to kwestia nie tyle dorzucania seksu do, na przykład, pralek (co zakrawa na absurd), ile tego, że na obiekt nakłada się skojarzone z ko-

biecością wyobrażenia sugerujące ustawiczną dostępność, wykluczające niesprawność czy przypadkowość.

W pornografii seksualność zostaje uspiona przez tę otchłanną monotonię, w której mężczyźni, gotowi do erekcji lub nie, pełnią rolę figurantów. W twardym porno nic w tej mierze się nie zmienia: to, co męskie, nie jest już ciekawe, ponieważ zbyt określone, zbyt nacechowane – fallus jako kanoniczny sygnifikant – a tym samym zbyt kruche. Fascynacja przenosi się ku *neutrum*, w stronę otchłannej nieokreśloności, ku seksualności zmiennej i rozproszonej. Czyżby historyczny odwet kobiecości po tylu wiekach tłumienia i oziębłości? Niewykluczone, ale pewniej już osłabienie znamienia seksualności, już to w wersji męskiej, która ongi ożywiała wyobrażenia związane z erekcyjnością, wertrykalnością, wznoszeniem, wzrastaniem, produkowaniem itd., by współcześnie rozpląnąć się w obsesyjnym naśladowaniu tych wszystkich tematów – czyli seksualności żeńskiej, której ucieleśnieniem od niepamiętnych czasów było uwodzenie. Współcześnie za mechanicznym uprzedmiotowianiem znaków seksu kryje się męska kruchość i zwycięskie żeńskie wyzerowanie.

Współcześnie jesteśmy w istocie świadkami oryginalnej sytuacji gwałtu i przemocy – przemocy, jakiej na „bliskiej samobójstwa” męskości dopuszcza się wyzwolona z pęt kobieca zmysłowość. Nie jest to jednak powtórka – po zmianie ról – historycznej przemocy, jakiej na kobiecie dopuszczała się męska władza seksualna. Jest to raczej przemoc neutralizacji, depresji i rozsypki pierwiastka nacechowanego w obliczu inwazji pierwiastka nienacechowanego. Nie jest to przemoc zmasowana, ogólna, lecz przemoc odstraszania, przemoc *neutrum*, przemoc wyzerowania.

Tym też jest pornografia: przemocą seksu zneutralizowanego.

Porno w stereo

– *Zabierz mnie do siebie i zerznij.*
– *Jest coś nieuchwytnego w twoim słownictwie, coś, co pozostawia wiele do życzenia.*

Philip K. Dick, *The Schizos' Ball*

Przemieniając wszystko w rzeczywistość.
Jimmy Cliff

Trompe-l'oeil pozbawia realną przestrzeń jednego wymiaru i to właśnie sprawia, że uwodzi. Porno – przeciwnie, wzbogaca o jeden wymiar przestrzeń seksu i sprawia, że seks staje się rzeczywistości od rzeczywistości – dlatego właśnie w porno nie ma uwodzenia.

Nie warto zastanawiać się nad fantazmatami nawiedzającymi pornografię (fetyszyzm, perwersja, pierwotna scena etc.), gdyż przekreśla je nadmiar „rzeczywistości”. Może zresztą porno to tylko alegoria, to znaczy pomopowanie znaków, barokowa nadznaczeniowość, ocierająca się o „groteskę” (dosłownie: „groteskowa” sztuka ogrodów uzupełnia naturalność skał, tak jak pornografia uzupełnia obrazowość szczegółów anatomicznych).

Obsceniczność sama spala i pożera swój przedmiot. Przedmioty oglądane ze zbyt bliskiej odległości, tak, jak nigdy się ich nie postrzega – na szczęście dla nas nigdy nie obserwujemy funkcjonowania naszych genitaliów ani w tak bliskim, ani tak ogólnym planie. Wszystko to staje się zbyt prawdziwe, zbyt bliskie, by było prawdziwe. I właśnie to jest fascynujące, nadmiar realności, hiperrealność rzeczy. Jedyne fantazmat, o jaki chodzi w pornografii, o ile w ogóle o jakikolwiek, to nie seks, lecz realność, jej wchłanianie przez coś innego niż realność, przez hiperrealność. Voyeurizm pornograficzny to nie to samo, co voyeurizm seksualny, dotyczy bowiem przedstawienia i jego zaniku, jest upojeniem spowodowanym utratą sceny i inwazją obsceniczności.

W następstwie powiększenia szczegółu anatomicznego uchylony zostaje realny wymiar, dystans obserwacji umożliwia momentalną wyostrzoną reprezentację: przedstawienie seksu w stanie czystym, odartego nie tyle z uwodzicielskiej siły, co z samej potencjalności właściwej jego wyobrażeniom. Seks z tak bliska, że zlewający się z własnym przedstawieniem: gdzie znika w przestrzeni perspektywa, tam pierzcha złudzenie.

Jednakże obsceniczność to nie to samo, co pornografia. W swojej tradycyjnej wersji obsceniczność zawiera element transgresji, prowokacji czy perwersji. Igra z wyparciami za pomocą fantazji, których tematem jest przemoc. Wraz z wyzwoleniem seksualnym ten typ obsceniczności znika: tędy umyka „represyjna desublimacja”, o której pisał Marcuse (nawet jeśli nie przenika do obyczajów, to i tak mityczny triumf wyzwolenia, podobnie jak wczorajszy triumf wyparcia, jest całkowity). Nowa obsceniczność, podobnie jak nowa filozofia, wznosi się na gruzach starej i nabiera innego sensu. Nie jest grą z seksem pełnym przemocy, przemocy, która jest jej rzeczywistą stawką, lecz z z seksem zneutralizowanym przez tolerancję. Seks jest w niej przesadnie „przedstawiany”, lecz chodzi tu o przedstawienie czegoś, co zostało usunięte. Pornografia to jego sztuczna synteza, jego ceremonia, lecz nie celebrowanie. Coś neo lub retro, jak kto woli, jak ta zielona przestrzeń, która nieboszczkę naturę zastępuje chlorofilowym efektem i która z tego powodu uczestniczy w tej samej obsceniczności, co pornografia.

Nowoczesna nierealność nie należy już do porządku wyobraźni, lecz raczej do porządku referencji, prawdy, porządku trafności – polega na przemieszczeniu wszystkiego w absolutną oczywistość tego, co rzeczywiste. Niczym na obrazach hiperrealistycznych, gdzie można dostrzec zgrubienia skóry twarzy, widoczne zazwyczaj pod mikroskopem, nie uwodzące nawet powabem niezwykłości. Hiperrealizm to nie to samo, co surrealizm, to wizja osaczająca uwodzenie widzialnością. „Dajemy wam więcej”. Sprawdza się to już w kolorze – w filmie czy w telewizji: tyle dostajemy – kolor, blask, seks, wszystko wiernie oddane i z wszelkimi niuansami (jak w życiu!) – że nic dodać, czyli dać w zamian. Całkowite stłumienie: ponieważ otrzymujemy trochę za dużo, więc zabiera się nam wszystko. Miejcie się na

baczności, gdy z nawiązką zostaje wam „oddane” to, czego nigdy nie ofiarowaliście!

Przeraźliwe, klaustrofobiczne wspomnienie, obsceniczne, wspomnienie japońskiej kwadrofonii: sala z idealną klimatyzacją, fantastyczna technika, czterowymiarowa muzyka, przestrzeń nie tylko trójwymiarowa, posiadająca bowiem jeszcze czwarty wymiar głębi, przestrzeni wewnętrznej – techniczne szaleństwo przywracające doskonałość muzyki (Bach, Monteverdi, Mozart!), jaka nigdy nie istniała, której nikt nigdy w takiej postaci nie słyszał i która wcale nie została skomponowana z myślą o takim odbiorze. Zresztą jej się nie „słucha”, to coś zupełnie innego, dystans umożliwiający słuchanie muzyki na koncercie czy gdzie indziej zostaje zlikwidowany i muzyka dociera ze wszystkich stron, nie ma już przestrzeni muzycznej, jest symulacja całego otoczenia, pozbawiająca choćby minimalnej percepcji analitycznej określającej czar muzyki. Japończycy po prostu pomiesza, zresztą w najlepszej wierze, realność z wszelkimi możliwymi wymiarami. Gdyby potrafili opracować heksafonię, pewnie by ją mieli. Otóż właśnie ów dołączony czwarty wymiar pozbawia nas muzycznej rozkoszy. Coś innego zatem nas fascynuje (ale już nie uwodzi): techniczna perfekcja, „hi-fi”, tak samo obsesyjna i purytańska jak wierność małżeńska, choć w tym przypadku nawet nie wiadomo już, czego dotyczy ta wierność, skoro nie wiadomo, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy realność, i nie sposób pojąć upojenia perfekcją, która upiera się, żeby ją odtwarzać.

Toteż technika sama sobie kopie grób, gdyż, doskonaląc środki syntezy, pogłębia kryteria analizy i definiowania – do tego stopnia, że absolutna wierność, kompletność względem realności zaczyna zakrawać na niemożliwość. Realność staje się upojnym fantazmatem wierności zatracającej się w nieskończonej znikomości.

W porównaniu choćby z *trompe-l'oeil*, który oszczędza na jednym wymiarze, „normalna” przestrzeń trójwymiarowa oznacza degradację, zubożenie poprzez nadmiar środków (wszystko, co jest realne lub chce za takie uchodzić, oznacza już taką właśnie degradację). Kwadrofonia, hiperstereo, *hi-fi* oznaczają degradację definitywną.

Porno to kwadrofonia seksu. Dorzuca trzecią i czwartą ścieżkę do aktu płciowego. To halucynacja wszechwładnego detalu – do takiego mikroskopowego obrazu zdążyła nas przyzwyczaić nauka, do voyeuryzmu podglądającego dokładność, niewidzialne struktury komórkowe w planie ogólnym, przyzwyczaiła nas do pojęcia nieubłaganej prawdy, której żadną miarą nie może być już wygląd, a którą można odsłonić jedynie za pomocą wyrafinowanej aparatury technicznej. Koniec tajemnicy.

Cóż bowiem ujawnia pornografia, ukazując nam trikowe obrazy, jeśli nie taką bezlitosną, mikroskopową prawdę seksu? Jest bezpośrednią pochodną metafizyki, która uznaje jedynie fantazmat prawdy ukrytej i jej objawienie, fantazmat „stłumionej” energii i jej wytwarzania – na obscenicznym scenie rzeczywistości. Stąd impas myśli oświeconej w obliczu pytania: czy pornografię należy cenzurować i stosować umiarkowane stłumienie? Trudno odpowiedzieć, ponieważ racja jest po stronie pornografii: przyczynia się do zniszczenia rzeczywistości, obłudnej iluzji rzeczywistości i jej obiektywnego wyzwolenia. Nie można wyzwolić sił wytwórczych, rezygnując z „wyzwolenia” brutalności płci: jedno jest tak samo obsceniczne jak drugie. Realistyczne zepsucie seksu, psucie pracy poprzez podporządkowanie jej wytwórczości – identyczne objawy, jedna walka.

Odpowiednikiem pracy przy taśmie jest japońska waginorama – bijąca zresztą na głowę każdy *strip-tease*: dziewczęta siedzą na skraju estrady z rozwartymi udami, a japońscy proletariusze w koszulach bez marynarek (to widowisko popularne) wlepiają oczy i wtykają nos w waginy dziewcząt, by zobaczyć – co? Przeciskają się, żeby lepiej zobaczyć, a tymczasem dziewczyna łagodnie do nich przemawia, czasami *pro forma*. Cała reszta spektaklu – bicowanie, wzajemna masturbacja, tradycyjny *strip-tease* – błędnie wobec tej absolutnej obsceniczności, widoku wzbudzającego pożądanie dalece wykraczające poza chęć zdobycia. Wzniosłe porno: gdyby to było możliwe, daliby się tym dziewczynom pochłonać. Czyżby egzaltacja śmiercią? Niewykluczone, lecz przecież ci faceci równocześnie komentują, co widzą, i porównują poszczególne waginy i to bez chichów i uśmieszków, ze śmiertelną powagą, i nawet nie próbując dotknąć, chyba że dla zabawy. Żadnej lubieżności: zachowanie nad

wyraz poważne i dziecinne, widzowie płci męskiej bez reszty urzeczeni zwierciadłem żeńskiego organu – zupełnie jak Narcyz własną twarzą. Porno, wykraczając poza konwencjonalny strip-tizowy idealizm (może nawet dałoby się w tym przypadku mówić o uwodzeniu), przeradza się w swych najbardziej wysublimowanych postaciach w obsceniczność oczyszczoną, pogłębioną, głębszą, bardziej trzewną – dlatego poprzestawać na nagości, na genitaliach, skoro obsceniczność to sprawa przedstawienia, a nie seksu, to należy zgłębić samo wnętrze ciała i trzewia; kto wie, jaką rozkosz przyniosłoby wizualne ćwiartowanie, widok błon śluzowych i mięśni gładkich? Nasza definicja porno jest jeszcze zbyt wąska. *Obscenum* ma niebywałą przyszłość.

Ale uwaga, nie chodzi o pogłębienie popędu, nie chodzi o orgię realizmu i orgię produkcji. Wściekłość (będąca być może także popędem, ale takim, który zastępuje wszystkie pozostałe), żeby wszystkich postawić przed sądem, żeby wszystko oddać pod jurysdykcję znaków. Żeby wszystko znalazło się w ich świetle, w blasku widzialnej energii. Żeby słowo zostało wyzwolone i żeby głosiło pożądanie. Nurzamy się w tej liberalizacji, będącej niczym innym jak procesem narastającej obsceniczności. Wszystko, co jest ukryte, i co jeszcze cieszy się statusem zakazu, zostanie wydobyte, wysłowione i stanie się oczywiste. Realność potężnieje, poszerza się, któregoś dnia cały świat stanie się realny, a kiedy realność się upowszechni, wtedy nastąpi śmierć.

Symulacja pornograficzna: nagość to przecież zawsze tylko jeszcze jeden znak. Nagość przesłonięta odzieniem funkcjonuje jako odniesienie sekretne, dwuznaczne. Odsłonięta, wynurza się jako znak i powraca do obiegu znaków: nagość znaczy. Tak jest zarówno w przypadku twardego porno, jak i porno łagodnego: narząd płciowy w stanie erekcji czy całkowicie rozwarty to tylko kolejny znak w hiperseksualnej panopli. Fallus-znak. Im dalej posunięta jest szaleńcza prawdziwość seksu, obnażanie jego mechaniki, tym głębiej jest się zanurzonym w akumulację znaków, tym bardziej jest się zatrzaśniętym w bezkresnej nadznaczeniowości rzeczywistości, która już nie istnieje, i ciała, które nigdy nie istniało. Nasza kultura ciała, dążąca do „wyraże-

nia” „pożądań” ciała, zajęta ich stereofonia, jest kulturą nieuleczalnej potworności i obsceniczności.

Hegel: „Jak, mówiąc o zewnątrz ludzkiego ciała, stwierdziliśmy, że na całej jego powierzchni, w przeciwieństwie do powierzchni ciała zwierząt, ujawnia się obecność bijącego serca, tak powiadamy o sztuce, że jej zadaniem jest takie tworzenie, by wszystkie punkty powierzchni zjawiska, wygląd, tworzyły oko, siedlisko duszy, która sama w ten sposób staje się widoczna dla ducha”. A więc żadnej nagości, żadnego ciała, które byłoby zwyczajnie nagie, i w ogóle żadnego ciała. Zupełnie jak w odpowiedzi Indianina, którego Biały spytał, dlaczego biega nago: „U mnie to wszystko jest twarz”. Ciało w kulturze nefetyszystycznej (takiej, która nie fetyszyzuje nagości jako prawdy obiektywnej) nie jest, jak u nas, przeciwieństwem twarzy, która ma wyłączność na pełnię ekspresji i jest wyposażona w oczy: całe jest ciałem i na nas patrzy. Nie jest więc obsceniczne, to znaczy widziane jako nagie. Jego nagości nie sposób ujrzeć, podobnie jak w naszej kulturze nagości twarzy, albowiem ciało jest symboliczną zasłoną i niczym innym, i właśnie owa gra zasłon, w której ciało „jako takie” zostaje przekreślone, to uwodzenie. I właśnie na tej grze polega uwodzenie, a nie na zrywaniu zasłon w imię przejrzystości, pożądania lub prawdy.

Nierozróżnialność ciała i twarzy w kulturze zdominowanej przez pozory – rozróżnienie między twarzą a ciałem w kulturze znaczenia (tutaj ciało staje się w sposób potworny widzialne, staje się znakiem potwora zwanego pożądaniem) – potem całkowity triumf w pornografii ciała obscenicznego, aż do zatarcia twarzy: modele erotyczne czy aktorzy porno są pozbawieni twarzy, nie mogą być piękni, brzydki czy ekspresyjni – jednego z drugim pogodzić nie sposób – funkcjonalna nagość zaciera wszystko w „widowiskowości” seksu. Niektóre filmy to tylko cielesne efekty dźwiękowe połączone ze zbliżeniami kopulacji: znikają z nich nawet ciała, rozmyte w obrazach wyolbrzymionych detali. Twarz jest tu nie na miejscu, gdyż zakłóca obsceniczność i ponownie wprowadza znaczenie tam, gdzie wszystko zmierza do jego uchylenia w nadmiarze seksu i upojeniu nicością.

Pod koniec tej degradacji zmierzającej do porażającej oczywistości ciała (i jego „pożądania”) wyglądy są już pozbawione

tajemnicy. Kultura desublimacji wyglądów: wszystko się w niej materializuje pod najbardziej obiektywną postacią. Kultura porno *par excellence* – ta, która zawsze i wszędzie tropi działanie realności. Kultura porno ze swoją ideologią konkretności, faktyczności i pożytku, materialną infrastrukturą rzeczy, ciałem jako materialną infrastrukturą pożądania. Kultura jednowymiarowa, w której miarę wywyższenia stanowi „konkret produkcji” lub konkretność rozkoszy – nieograniczona mechaniczna praca lub także kopulacja. Obsceniczność tego świata polega na tym, że nic nie zostaje w nim pozostawione wyglądowi bądź przypadkowi. Wszystko jest w nim znakiem widzialnym i koniecznym. Jest to świat lalek z genitaliami, lalek, które siusiąją, mówią i któregoś dnia będą uprawiać miłość. Reakcja dziewczynki: „Moja młodsza siostrzyczka także wie, jak to się robi. Może mi pan dać prawdziwą?”.

Od dyskursu pracy do dyskursu seksu, od dyskursu siły wytwórczej do dyskursu popędu, wszędzie to samo ultimatum, ultimatum *produkcji* w dosłownym znaczeniu tego terminu. W pierwotnym znaczeniu nie było to wytwarzanie, lecz uwidacznianie lub wyjawianie i ukazywanie. Seks *produkuje* się tak samo jak dokument albo tak jak się mówi o aktorze, który *produkuje* się na scenie.

Produkować to tyle, co przemocą materializować coś, co należy do innego porządku, porządku tajemnicy i uwodzenia. Uwodzenie – *séduction* – zawsze i wszędzie występuje jako przeciwieństwo produkcji – *production*. Uwodzenie zabiera coś z porządku widzialnego, produkcja buduje wszystko na widoku, niezależnie od tego, czy jest to przedmiot, liczba czy pojęcie.

Wszystko jest efektem produkcji, wszystko musi być czytelne, wszystko musi być rzeczywiste, widzialne, policzalne, przekładalne na kategorie siły, systemów pojęć czy wymiernej energii; wszystko musi być wypowiedalne, musi dać się gromadzić, układać i utrzymywać: taki jest seks w porno, a ogólniej zamysł całej naszej kultury, w której obsceniczność jest stanem naturalnym: kultury ukazywania, dowodzenia i produkcyjnej potworności.

Ani śladu w tym uwodzenia, także w pornografii, biorąc pod uwagę żywiołową produkcję aktów płciowych, dziką rozkosz uobecnienia. Nie ma nic uwodzicielskiego w twarzach przenikanych przez spojrzenie, dosłownie wessanych przez próżnię przezroczyści – podobnie ani cienia uwodzenia w świecie produkcji, w którym zasada przezroczyści rządzi siłami należącymi do świata zjawisk widzialnych, policzalnych – przedmiotów, maszyn, aktów płciowych czy produktu narodowego brutto.

Nierozstrzygalna dwoistość: pornografia kładzie kres uwodzeniu poprzez seks, a jednocześnie kładzie kres seksowi poprzez nagromadzenie jego znaków. Triumfalna parodia i udawana agonia: na tym polega jej dwuznaczność. W tym też sensie porno jest prawdziwe: to, czym jest, zawdzięcza systemowi odwodzenia od seksu przez halucynacje, odwodzenia od rzeczywistości przez hiperrealność, odwodzenia od ciała przez jego wymuszoną materializację.

Pornografię zazwyczaj krytykuje się z dwóch powodów: że manipuluje seksem w celu rozładowania walki klas (niezmienne historia „fałszywej świadomości”) i że psuje seks – prawdziwy, dobry, wyzwalający, stanowiący część prawa naturalnego. A więc porno albo maskuje prawdę kapitału i infrastruktury, albo prawdę seksu i pożądania. Otóż porno nie maskuje niczego (i w tym właśnie rzecz) – nie jest ideologią, to znaczy nie ukrywa prawdy, jest symulakrą, to znaczy efektem prawdy maskującym to, że ona sama nie istnieje.

Pornografia mówi: gdzieś istnieje dobry seks, ponieważ jestem jego karykaturą. Stanowi groteskowo-obsceniczną próbę ocalenia prawdy seksu, wspierającą wiarygodność słabnącego modelu seksualnego. Albowiem cała kwestia sprowadza się do tego, czy dobry seks istnieje, czy seks po prostu istnieje, seks jako idealna wartość użytkowa ciała, seks jako potencjalna rozkosz, która może i musi zostać „wyzwolona”. To samo pytanie zadaje się ekonomii politycznej: czy poza wartością wymienną, pojmowaną jako nieludzka abstrakcja kapitału, istnieje idealna wartość dóbr bądź stosunków społecznych, które można i należy wyzwolić?

Uwodzenie i wytwarzanie

Pornografia to w istocie rzeczy tylko paradoksalna granica seksualności. Realistyczne „wyołbrzymienie”, maniackalne natręctwo realności: to obsceniczność w etymologicznym i wszelkim innym znaczeniu tego słowa. Ale czy sama seksualność nie jest już wymuszoną materializacją? Czy ekspansja seksualności nie wpisuje się po prostu w realistyczne nastawienie Zachodu, właściwą naszej kulturze obsesyjną skłonność do tego, by wszystko traktować instrumentalnie?

To absurdalne, że w refleksji o innych kulturach wyodrębnia się religię, gospodarkę, politykę i system prawny, to znaczy społeczne i inne wymyślne kategorie, skoro takie podziały nie funkcjonują, a kultury, które chcemy za ich pomocą lepiej „zrozumieć”, zarazamy niczym roznosiciele chorób wenerycznych. Podobnie absurdalne jest autonomizowanie seksualności jako odrębnej instancji, jako nieredukowalnej danej, do której należałoby sprowadzać wszystko inne. Niezbędna okazuje się krytyka rozumu seksualnego, a raczej jego genealogia, na wzór Nietzscheańskiej genealogii moralności, chodzi wszak o naszą nową moralność. Do seksualności można by odnieść to, co się mówi o śmierci: „jest fałdą, z którą świadomość oswoiła się całkiem niedawno”.

Konsternację i współczucie wywołują w nas kultury, dla których akt płciowy nie jest celem samym w sobie, dla których seksualność nie jest śmiertelnie poważną sprawą energii, którą trzeba wyzwolić, ejakulacji, którą trzeba sprowokować, produkcji za wszelką cenę czy higienicznej ekonomii ciała. Te kultury, które zachowały rozbudowane procedury uwodzenia i zmysłowości, w których seksualność to jedna z usług w sekwencji darów i rewanży, a akt miłosny to tylko ewentualne zwieńczenie owych gestów odwzajemniania, wykonywanych w ramach z góry określonego rytuału. Dla nas nie ma to już sensu, dla nas seksualność to już tylko i wyłącznie spełnienie pożądania w rozkoszy, a cała reszta to literatura. Niezwykłość krystalizacji wokół funkcji orgiastycznej, a ogólniej – wokół funkcji energetycznej.

Tworzymy kulturę przedwczesnego wytrysku. Uwodzenie i towarzyszący mu rozbudowany rytuał, wszelkie jego techniki – wszystko to zostaje stopniowo wyparte przez znaturalizowany imperatyw seksualności, dążenie do natychmiastowego spełnienia, imperatyw pożądania. Punkt ciężkości wyraźnie przemieścił się w stronę ekonomii popędu, w której jest miejsce już tylko na naturalizację pożądania, pożądania posłusznego popędowi czy realizującego się w mechanicznym działaniu, nade wszystko jednak posłusznego wyobraźni wyparcia i wyzwolenia.

Dlatego nikt już nie mówi: „Masz duszę, która musi zostać zbawiona”, lecz:

- „Masz seks i musisz zrobić z niego dobry użytek”
- „Masz nieświadomość i twoje id musi przemówić”
- „Masz ciało i musisz czerpać z niego rozkosz”
- „Masz libido i musisz nim dysponować” etc.

Ten przymus upłynniania, przepływu, przyspieszonej cyrkulacji psychicznej, seksualności i cielesności jest dokładną repliką przymusu panującego w świecie wartości wymiennych: kapitał musi być w obiegu, nie ma mowy o żadnej stałości, ciąg inwestowania i reinwestowania musi działać nieprzerwanie, a wartość musi stale się rozchodzić – w takiej formie obecnie realizuje się wartość i seksualność, jej model zostaje określony przez sposób jej funkcjonowania na poziomie ciała.

Seksualność jako model przybiera formę indywidualnego przedsięwzięcia opartego na energii naturalnej: każdemu jego pożądanie i oby najlepszy zwyciężył (w dziedzinie rozkoszy). Jest to też forma cechująca kapitał i dlatego właśnie seksualność, pożądanie i rozkosz są wartościami podrzędnymi. Jako system odniesienia pojawiły się na horyzoncie kultury zachodniej nie tak dawno temu, od razu jako wartości upadłe, rezydualne – ideał klas niższych, mieszczaństwa, potem drobnomieszczaństwa – w stosunku do arystokratycznych wartości, jakimi były urodzenie i krew, męstwo i uwodzicielskość, czy wartości zbiorowych, religijnych i tych związanych z obrzędami.

Zresztą jedyna realność ciała, tego ciała, do którego nieustannie odsyłamy, zostaje wytyczona przez seksualność i model

oparty na produkcji. To właśnie kapitał jednym i tym samym gestem powołuje do życia przepełnione energią ciało sił wytwórczych oraz to, o którym dziś marzymy jako o sanktuarium pożądania i nieświadomości, psychicznej energii i popędu, posłuszne popędowi ciało sterowane przez elementarne procesy – ciało, które samo stało się elementarnym procesem, a tym samym antyciałem, podstawowym odniesieniem rewolucji. Oba te ciała tworzą się równocześnie w procesie wyparcia, a ich wyraźne przeciwieństwo oznacza w istocie wzajemne podwojenie. Odkrycie w skrytości ciała „uwolnionej” energii popędu, będącej przeciwieństwem spętanej energii ciał produkcyjnych, odkrycie w pożądaniu fantazmatycznej i popędowej prawdy ciała, nadal oznacza jedynie eksplorowanie psychicznej metafory siedliska.

Tym jest pożądanie, tym jest nieświadomość: rumowiskiem ekonomii politycznej, psychiczną metaforą siedliska. Zaś seksualna jurysdykcja to tylko fantazmatyczne poszerzenie powszechnego ideału własności prywatnej, gdzie każdemu przypisano pewną ilość kapitału do zarządzania: kapitału psychicznego, popędowego, seksualnego czy nieświadomościowego, za który każdy będzie odpowiadał przed samym sobą z punktu widzenia własnego wyzwolenia.

Fantastyczna redukcja uwodzenia. Owa seksualność przekształcona przez rewolucję pożądania, owa produktywność ciała i cielesny obieg uzyskały swoją obecną postać i doczekały się omówień w kategoriach „stosunków seksualnych” jedynie dzięki temu, że w zapomnienie poszły wszelkie formy uwodzenia – na takiej samej zasadzie o tym, co społeczne, mówi się w kategoriach „stosunków” czy „stosunków społecznych” dopiero po całkowitym zaniku treści symbolicznych.

Funkcjonalizacja seksu i podniesienie go do rangi autonomicznej instancji niezmiennie powoduje zanik uwodzenia. Dlatego współcześnie seks na ogół funkcjonuje jako uwodzenie nieudane, choć bywa także traktowany jako pozostałość i inscenizacja uwodzenia bezskutecznego. Stąd nieobecna forma uwodzenia staje się przedmiotem seksualnej halucynacji objawiającej się pożądaniem. Współczesna teoria pożądania wyrosła na gruzach uwodzenia.

Odtąd miejsce formy uwodzicielskiej zajmuje proces produkcyjny i „ekonomia” seksu: retrospektywa popędu, halucyna-

cyjna wizja nieświadomości jako magazynu energii seksualnej, w którym zapisują się akty wypierania i wyladowania pożądania: wszystko to i ogólnie psychika jest wynikiem autonomizacji formy seksualnej – podobnie jak kiedyś naturę i ekonomię traktowano jako osad w autonomicznej formie produkcyjnej. Natura i pożądanie, obie wyidealizowane, zamieniły się miejscami w postępowych schematach wyzwolenia, kiedyś wyzwolenia sił produkcyjnych, a dzisiaj ciała i seksu.

A więc narodziny seksualności, dyskursu seksualnego, tak jak kiedyś narodziny kliniki, klinicznego spojrzenia – miały miejsce tam, gdzie przedtem nie było niczego – z wyjątkiem form pozostających poza kontrolą, dziwacznych, niestabilnych, czy bardzo zrytualizowanych. Gdzie zatem również nie było wyparcia, a tym przecież obciążyliśmy wszystkie dawne społeczeństwa znacznie bardziej niż nasze współczesne. Patrzymy na nie przez pryzmat cywilizacji technicznej i krytykujemy jako formy prymitywne, także z punktu widzenia psychiki i seksualności, gdyż nie znały ani pojęcia seksualności, ani nieświadomości. Na szczęście psychoanalizie udało się unieść to brzemień i ujawnić to, co było ukryte, niesamowity rasizm prawdy, ewangeliczny rasizm Słowa i zapowiedzi jego nadejścia.

Jeśli seksualność nie ujawnia się pod własną postacią, traktujemy ją w kategoriach wyparcia i w ten sposób ją ocalamy. A jednak mówienie o seksualności wypartej czy poddanej sublimacji w odniesieniu do społeczeństw prymitywnych, feudalnych itp., czy w ogóle mówienie o „seksualności” i nieświadomości jest w tym przypadku oznaką bezdennej głupoty. Przecież nie wiadomo nawet, czy ten psychoanalityczny klucz pasuje do naszego społeczeństwa. Na tej podstawie, to znaczy podważając samą hipotezę seksualności, kwestionując traktowanie seksu i pożądania jako instancji autonomicznych, można się zgodzić z Foucaultem i stwierdzić (choć nie z tych samych powodów), że także w naszej kulturze nie ma i nigdy nie było żadnego wyparcia.

Seksualność w takiej postaci, w jakiej nam się objawia, w jakiej się wyraża, jest bez wątpienia, podobnie jak ekonomia polityczna, tylko montażem, symulacją, zawsze przekraczaną, udaremnianą, przewyższaną przez praktyki każdego systemu. Spo-

istość i przejrzystość *homo sexualis* była czymś bezspornym, tak samo jak spoistość i przejrzystość *homo oeconomicus*.

Jest to długi proces, ustanawiający i psychiczność, i seksualność, który tworzy „drugą scenę”, scenę fantazji i nieświadomości, a zarazem wzbudza w niej energię, psychiczną energię będącą prostym następstwem udramatyzowanej halucynacji wypierania, energię wykreowaną w halucynacji jako seksualna treść, metaforyzowana następnie i metonimizowana zgodnie z rozmaitymi zabiegami tematycznymi, ekonomicznymi itp., zgodnie z modalnościami kolejnych wyparć – zachwycający gmach psychoanalizy, najpiękniejszej halucynacji zaświata, jak powiedziałby Nietzsche. Nadzwyczajna skuteczność tego modelu symulacji energetycznej i scenicznej – niezwykła teoretyczna psychodrama, inscenizacja psychiki, scenariusz przedstawiający płęć jako instancję, nieprzewycięzalną realność (w innych modelach hipostazuje się produkcję). Nie ma zresztą znaczenia, na czyj koszt odbywa się ta inscenizacja – ekonomii, biologii czy psychiki – najważniejsza jest tu „scena” czy też „druga scena”, bo zakwestionować należy cały ten scenariusz seksualności (i psychoanalizy) jako modelu naśladowania.

Prawdą jest, że w naszej kulturze seksualność zatriumfowała nad uwodzeniem i zaanektowała je jako formę służebną. W naszym instrumentalnym ujęciu wszystko się zmienia, ponieważ w porządku symbolicznym na pierwszym miejscu stoi uwodzenie, seks pojawia się jako dodatek. Tutaj seks funkcjonuje tak, jak wyzdrowienie w kuracji psychoanalitycznej albo poród w opowieści Lévi-Straussa: następuje dodatkowo, bez związku z przyczyną i skutkiem. Na tym polega tajemnica „skuteczności symbolicznej”: to, co zachodzi w świecie, jest wynikiem mentalnego uwiedzenia – na tej zasadzie rzeźnik Czuang-Tseu potrafił opisać strukturę tkanki śródmiąższowej wołu bez użycia noża: drogą rozumowania symbolicznego, które dodatkowo przyniosło praktyczny rezultat.

Również uwodzenie działa poprzez takie symboliczne połączenie, dwoiste powinowactwo ze strukturą innego – dodatkowo może się z tym wiązać seks, choć niekoniecznie. Uwodzenie po-

legałyby raczej na wezwaniu do samego zaistnienia w porządku seksualnym. Stąd być może nasze „wyzwolenie” oznacza jedynie pozorny triumf, skoro spowodowało odwrócenie kategorii i skutecznie podważyło porządek uwodzenia. Kwestia ostatecznej wyższości logiki rytuału i wyzwania nad logiką ekonomii, płci i produkcji pozostaje nierozstrzygnięta.

Wszelkie rewolucje bowiem i akcje wyzwolicielskie są nie trwałe, uwodzenie zaś działa w sposób nieodparty. To ono na nie czyha: rewolucja nieuchronnie zostaje poddana działaniu potężnych uwodzicielskich komplikacji, które odwołują je od jej prawdy – nawet gdy ostatecznie zwycięża. Podobnie zagrożenie czyha na dyskurs seksualny, który niekiedy przemawia wbrew swym intencjom

W pewnym amerykańskim filmie facet podrywa dziewczynę, nienachalnie, kulturalnie. Dziewczyna reaguje agresywnie: „- *What do you want? Do you want to jump me? Then, change your approach! Say: I want to jump you!*”. Na co facet zażenowany: „- *Yes, I want to jump you. – Then, go fuck yourself!*”. A później, gdy wiezie ją swoim samochodem: „- *I make coffee, and then you can jump me*”, itd. Ta cyniczna rozmowa, prowadzona, na pierwszy rzut oka, bez osłonek, epatująca fizjologią i pozbawiona niuansów w istocie jest tylko grą. Grę, prowokację, wyzwanie przemyca między wierszami. Właśnie ta jej brutalność zawiera bogactwo niuansów i wzajemnego zrozumienia. To nowy sposób uwodzenia.

Albo taka historia z *The Schizos' Ball* Philipa K. Dicka:

„- Zabierz mnie do siebie i zerznij.

- Jest coś nieuchwytnego w twoim słownictwie, coś, co pozostawia wiele do życzenia”.

Możemy to rozumieć następująco: twoja propozycja jest nie do przyjęcia, nie ma w niej poezji pożądania, jest zbyt bezpośrednia. Jednak w pewnym sensie tekst wyraża coś wręcz przeciwnego: że w tej propozycji jest coś „nieuchwytnego”, co tym samym otwiera drogę pożądaniu. Bezpośrednia zachęta seksualna jest właśnie zbyt bezpośrednia na to, by była prawdziwa i automatycznie odsyła do czegoś innego.

W pierwszej wersji mamy ubolewanie nad obscenicznością rozmowy. W drugiej – już wyższe wyrafinowanie: zdolność do

zabawy sztuką, która wykorzystuje obsceniczność jako uwodzicielski kostium, a więc jako „nieuchwytną” aluzję do pożądania, obsceniczności zbyt brutalnej na to, by była prawdziwa, zbyt chamskiej, by była nieuczciwa – obsceniczności jako wyzwania a więc znowu jako uwodzenia.

W gruncie rzeczy nie sposób oczekiwać samego seksu, budować wypowiedzi, której wyłącznym tematem byłby seks. Tak jak nie sposób uwolnić się od uwodzenia – dyskurs antyuwodzicielski okazuje się ostatnią metamorfozą dyskursu uwodzicielskiego.

Rzecz nie tylko w tym, że taki dyskurs realizujący żądanie samego seksu jest wykluczony, zważywszy na złożoności relacji uczuciowych, ale po prostu nie istnieje. Iluzja, jaką stwarza wiara w rzeczywistość seksu i w możliwość jej bezpośredniego wyrażenia – iluzja wszystkich dyskursów zakładających własną przezroczystość – dotyczy także dyskursu użytkowego, naukowego i każdego innego szukającego odniesienia w prawdzie: na szczęście jest on nieustannie podważany, rozpraszany, niszczony, czy może raczej przechytrzany, sprzeniewierzany, uwodzony. Potajemnie zwraca się przeciwko sobie, potajemnie unieważnia go inna gra, o inną stawkę.

Oczywiście ani pornografia, ani transakcje seksualne nie mają nic wspólnego z uwodzeniem. Są nędzne – jak nagość i jak prawda. To odczarowane formy ciała, podobnie jak seks jest wypartą i odczarowaną formą uwodzenia, a wartość użytkowa odczarowaną formą przedmiotu i tak jak – już ogólniej – to, co rzeczywiste, jest wypartą i odczarowaną formą świata.

Ale także nagość nigdy nie zagrazi uwodzeniu, gdyż automatycznie staje się czymś innym, histerycznym kostiumem innej gry, której cel znajduje się poza nią. Nie ma mowy o wyzerowaniu, obiektywnym odniesieniu, neutralności – jest tylko ciągle podbijanie stawki. Współcześnie wszystkie nasze znaki jakby zmierzają – tak jak ciało w nagości i znaczenie w prawdzie – do jakiejś definitywnej obiektywności, będącej entropijną i metastabilną formą neutralności – bo czymże innym jest emanujące idealną typowością nagie ciało wczasowicza zwrócone ku słońcu, wystawione na higieniczne wszak i neutralne działanie słońca i ta lucyferyczna parodia, jaką jest opalanie się. Zawsze jednak następuje wstrzymanie znaków w punkcie wyzerowania te-

go, co realne i neutralne, a więc czy samo *neutrum* nie zostaje przenicowane i włączone w ponownie uruchomioną spiralę podbijania stawek, uwodzenia i śmierci?

Jaką siłę uwodzicielską kryje w sobie seks? Co w tej mierze przyniesie, jakie jeszcze wyzwanie, przekreślenie tego, co dawniej wyznaczało stawkę seksualności? (Czy też, na innej płaszczyźnie: czym fascynuje i jakie wyzwanie niesie masowość, przekreślenie tego, co dawniej wyznaczało stawkę społecznienia?).

Być może błędne są opisy odczarowanych systemów, hipotezy formułowane na ich temat, na temat epidemii naśladownictwa i odwodzenia, oraz te, które mówią o erozji procesów symbolicznych i śmierci referencyjności. Neutralność nigdy nie jest neutralna, skoro fascynuje. Ale czy to oznacza, że ponownie da się ją uwieść?

Logika uwodzenia i agonu, logika rytuału przewyższa seks. Seks, podobnie jak władza, nigdy nie ma ostatniego słowa. I właśnie na tej zasadzie w *Imperium zmysłów*, filmie, którego treścią od początku do końca jest akt płciowy, uparcie eksponowana rozkosz zostaje opanowana przez logikę pochodzącą z zupełnie innego porządku. Ten film jest niezrozumiały, jeśli postrzega się go wyłącznie przez pryzmat seksualności, ponieważ rozkosz oczywiście kończy się wszystkim tylko nie śmiercią. Jednakże szaleństwo ogarniające kochającą się parę (będące szaleństwem tylko dla nas, gdyż faktycznie panuje tam żelazna logika) popycha ich do skrajności, gdzie nie chodzi już o sens, a doświadczenie zmysłowe pod każdym względem traci swój zmysłowy charakter. Nie jest to również doświadczenie mistyczne czy metafizyczne. To logika wyzwania, wyzwolona przez kochanków licytujących się w zmysłowości. Wydarzeniem zasadniczym jest tutaj, ściśle rzecz biorąc, przejście od logiki rozkoszy, od której wszystko się zaczyna i zgodnie z którą mężczyzna prowadzi grę, do logiki wyzwania i śmierci, która następuje z inicjatywy kobiety przyjmującej rolę pani tej gry, mimo iż początkowo była tylko obiektem seksualnym. To właśnie w ten sposób za sprawą kobiecości następuje przenicowanie wartości seksualnej w logikę uwodzenia i agonu.

Nie ma to nic wspólnego z perwersją czy chorym popędem, ani z Erosem i Tanatosem czy z ambiwalencją pożądania, czy z jakąś interpretacją pochodzącą z naszych psychoseksualnych rubieży. Nie jest to kwestia seksu czy podświadomości. Stosunek płciowy jest postrzegany jako akt rytualny, ceremonialny czy wojenny, którego obligatoryjnym rozwiązaniem (tak jak w tragediach antycznych traktujących o kazirodztwie) jest śmierć – symbol podjętego wyzwania.

A zatem obsceniczność może uwodzić, tak jak uwodzić mogą seks i rozkosz. Nawet najbardziej antyuwodzicielskie figury mogą stać się figurami uwodzenia (o dyskursie feministycznym mówiono, że choć jest kompletnie niewodzicielski, to jednak zawiera pewien homoseksualny wabik). Wystarczy przemieścić je poza ich prawdziwość i ulokować w odwracalnej konfiguracji zapowiadającej zarazem ich śmierć. To samo dotyczy owej niewodzicielskiej *par excellence* figury władzy.

Władza uwodzi. Nie w pospolitym sensie pożądania mas, pożądania współudziału (tautologia, która powraca, by ugruntować uwodzenie w pożądaniu innych): nie – władza uwodzi ową przenikającą ją odwracalnością, która uruchamia cykl na minimalnym poziomie. Nie ma już rządzących i rządzonych ani oprawców i ofiar (oczywiście „wyzyskiwacze” i „wyzyskiwani” istnieją, choć zupełnie odrębnie, gdyż w produkcji nie ma mowy o odwracalności, toteż na tej płaszczyźnie nic istotnego się nie dzieje). Żadnego odosobnionego stanowiska: władza spełnia się – zgodnie z paradygmatem pojedynku – rzuca społeczeństwu wyzwanie i sama spotyka się z takim wyzwaniem z jego strony. Jeśli władzy nie można „zmienić” zgodnie z owym minimalnym cyklem uwodzenia, wyzwania i wybiegu, władza najzwyczajniej znika.

W gruncie rzeczy władza nie istnieje: nie ma jednostronnych stosunków sił, na których wznosi się „struktura” władzy, jej „realność” i jej nieustanna dynamika. Tak wygląda marzenie o władzy narzuconej przez rozum, a nie jej realność. Wszystko zmierza do śmierci. Władza też. A raczej wszystko pragnie się zmieniać, przenicowywać, uczestniczyć w cyklu znoszenia (dla-

tego w istocie nie ma ani wyparcia, ani nieświadomości, gdyż odwracalność jest ustawiczna). I to właśnie jest dogłębnie uwodzicielskie. Władza uwodzi tylko wtedy, gdy poniekąd sama dla siebie staje się wyzwaniem – w przeciwnym razie jest tylko wprawką i zaspokaja jedynie hegemoniczną logikę rozumu.

Uwodzenie jest silniejsze od władzy, gdyż jest procesem odwracalnym i śmiertelnym, natomiast władza pragnie być odwracalna i tak jak wartość chce kumulować się i umierać. Przejmuje wszelkie złudzenia rzeczywistości i produkcji, pragnie być realna, a zarazem chętnie staje się własnym wyobrażeniem i popada w przesady na swój temat (przy pomocy teorii, które ją analizują, choćby po to, by przeciwko niej wystąpić). Natomiast uwodzenie nie należy do porządku rzeczywistości i w ogóle nie ma nic wspólnego z porządkiem siły czy dotyczących jej zależności. Ale z tego też względu jest uwikłane we wszystkie realne procesy władzy, jak również w rzeczywistość produkcji, za sprawą swojej odwracalności i nieakumulacyjności, bez których nie byłoby ani władzy, ani produkcji.

Za władzą czai się próżnia, może nawet drażni sam jej środek, tak jak i rdzeń produkcji, i to właśnie ona ocala dzisiaj ostatni przebłysk rzeczywistości. Bez tego, co je obraca na nice, uchyla, uwodzi, i władza, i produkcja nigdy nie cieszyłyby się powagą rzeczywistości.

Zresztą rzeczywistość nigdy nikogo nie interesowała. Jest miejscem odczarowania, miejscem, w którym symulakra gromadzenia zostaje przeciwstawiona śmierci. Nic gorszego. Niekiedy właśnie czające się w tle wyobrażenie katastrofy sprawia, iż rzeczywistość, prawda zaczynają fascynować. Czy władza, ekonomia, seks, wszystkie te wielkie prawdziwe historie funkcjonowałyby choćby przez chwilę, gdyby nie wspierająca jej fascynacja, fascynacja wywołana właśnie przez lustrzany obraz, w którym się odbijają, ich ustawiczną odwrotnością, zmysłową rozkoszą, jaką zapowiada ich nieuchronny koniec?

Realność – zwłaszcza dzisiaj – to tylko usypisko martwej materii, martwych ciał, martwego języka – osadzanie się szczątków. Współcześnie możliwość oszacowania zapasu rzeczywistości (ekologia lamentuje nad materialnymi energiami, lecz ukrywa, że za horyzontem gatunku ginie realność tego, co rzeczywiste

i możliwości zarządzania tym na sposób kapitalistyczny lub rewolucyjny) daje nam poczucie pewności siebie: o ile horyzont produkcji zaczyna zanikać, o tyle na horyzoncie mowy, seksu, pożądania może pojawić się zapowiedź zmiany. Wyzwalanie, dawanie rozkoszy, przemawianie do innych i ich wysłuchiwanie – oto realność, coś, co posiada treść, oto rezerwa na przyszłość. A więc także i władza.

Lecz niestety, nie na długo. Owa „realność” stopniowo niszczy. Seksu pragnie się tak samo jak władzy, żeby stać się nieodwracalną instancją, pożądaną nieodwracalnej energii (zapasu energii – pożądanie, dodajmy, nigdy nie leży daleko od kapitału). Albowiem zgodnie z naszym wyobrażeniem, sens nadajemy tylko temu, co jest nieodwracalne: gromadzeniu, postępowi, wzrostowi, produkcji. Wartość, energia i pożądanie są odwracalne – w tym właśnie tkwi sens ich wyzwolenia. (Wstrzyknijmy choćby minimalną dawkę odwracalności w nasze mechanizmy ekonomiczne, polityczne, instytucjonalne, seksualne, a wszystko od razu się zawali). Oto co współcześnie zapewnia seksualności ową mityczną władzę nad ciałem i sercami. Ale też to właśnie określa kruchość jej i całego gmachu produkcji.

Uwodzenie to siła potężniejsza niż produkcja. Potężniejsza niż seksualność, z którą żadną miarą nie należy go mylić. Nie jest immanentnym procesem seksualności, choć do niej powszechnie jest sprowadzane. Jest procesem kołowym, odwracalnym, jest wyzwaniem, które wywołuje licytację, wyzwaniem rzuconym śmierci. To, przeciwnie, seksualność jest zredukowaną formą uwodzenia, opisywaną w energetycznych kategoriach pożądania.

Uwikłanie uwodzenia w procesy produkcji i władzy, przeniesienie, choćby minimalne, porządku odwracalnego we wszelkie nieodwracalne procesy, skrycie w ten sposób demontowane i niszczone, i zapewniające zarazem podtrzymanie ciągłości rozkoszy, bez której byłyby niczym – wszystko to wymaga analizy. Nie zapominajmy jednak o tym, że produkcja niezmiennie dąży do wyeliminowania uwodzenia, ażeby zaszczyć się na czystej ekonomii stosunków między siłami – i że seks, produkcja seksu, dąży do wyeliminowania uwodzenia, ażeby ugruntować się na czystej ekonomii stosunków pożądania.

Dlatego też należy całkowicie odwrócić wywód Foucaulta z *Woli wiedzy*, akceptując jednakże jego zasadniczą hipotezę. Gdyż Foucault uwzględnia jedynie produkcję seksu jako dyskursu i fascynuje go nieodwracalne rozwinięcie i szczelinowe nasycanie pola mówienia, będącego zarazem polem instytucji władzy, znajdującej zwińczenie w polu wiedzy, która ją odzwierciedla (bądź wymyśla). Ale skąd władza czerpie swoją somnambuliczną funkcjonalność, to nieodparte powołanie do szczelinowego nasycania przestrzeni? Jeśli uspołecznienie i seksualność funkcjonują tylko o tyle, o ile władza je kultywuje i inscenizuje, to może i sama władza funkcjonuje tylko o tyle, o ile ją kultywuje i inscenizuje wiedza (teoria) – w takim razie całość wypadłoby umieścić w dziedzinie naśladowania i odwrócić to zbyt doskonale lustro, nawet jeśli wytwarzany przez nie „efekt prawdziwości” okazuje się cudownie czytelny.

Ale nie koniec na tym, bo czy zrównanie władzy i wiedzy, ta zbieżność ich mechanizmów, które, jak się nam wydaje, rządzą całym oczyszczonym przez nią polem, to połączenie przedstawione przez Foucaulta jako pełne i funkcjonalne, nie jest aby koniunkcją dwóch śmiertelnych gwiazd, które nawzajem się oświetlają ostatnimi błyskami, gdyż utraciły już własne światło? Władza i wiedza w charakterystycznych dla siebie początkowych fazach stanowią często gwałtowne przeciwieństwo (tak samo zresztą jak władza i seks). Ale czy współcześnie nie zachodzą aby na siebie w efekcie postępującego zaniku zasady ich rzeczywistości, ich cech charakterystycznych, właściwej im energii? Ich koniunkcja zapowiadałaby zatem nie pozytywne podwojenie, lecz bliźniacze zobojętnienie, u kresu którego pozostawia po sobie jedynie nawiedzające nas połączone widma.

Za tą pozorną *stasis* władzy i wiedzy, która chyba wszędzie się ujawnia, kryje się w gruncie rzeczy jedynie *metastasis* władzy, nowotworowe rozprzestrzenianie się struktury już rozchwianej i zdeorganizowanej, a jeśli władza ma charakter powszechny i współcześnie można ją wykryć na wszystkich poziomach (władza „molekularna”), jeśli zaczyna toczyć jak rak i w sposób niekontrolowany rozprzestrzeniać swoje komórki, nie słuchając już starego, dobrego „kodu genetycznego” polityki, to w końcu zaraża się sama i popada w stan pełnej de-

kompozycji. Chyba że cierpi ponadto na hiperrealność i przeżywa poważny kryzys naśladownictwa (nowotworowe rozprzestrzenianie się samych znaków władzy) i zgodnie z tym osiągnęła stan powszechności i nasycenia. Stan somnambulicznej funkcjonalności.

A więc zawsze i wszędzie należy tropić symulację, zaglądać pod podszewkę znakom, które traktowane nominalnie i w dobrej wierze zawsze poprowadzą nas do rzeczywistości i oczywistości władzy. Tak samo jak poprowadzą nas do rzeczywistości i oczywistości seksu i produkcji. Owego pozytywizmu nie można traktować nominalnie i wysiłki należy skupić na odwracalności władzy w procesie symulacji. Na taką hipotezę władza sama z siebie nigdy się nie zdobędzie, toteż tekst Foucaulta należy skrytykować za to, że jej nie postawił, a więc za to, że odnowił iluzję władzy.

Całość – którą przenika obsesja nieograniczonej władzy i takżej seksualności – należy zakwestionować dlatego, że tchnie pustką: obsesja władzy jako nieustannej ekspansji i zaangażowania zmusza do postawienia pytania dotyczącego ponownego przekształcenia przestrzeni władzy oraz przekształcenia przestrzeni seksualności i związanego z nią dyskursu; biorąc zaś pod uwagę fascynację produkcją, należy postawić pytanie dotyczące uwodzenia.